MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 4. WARSZAWA, 15 STYCZNIA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

WALKA O AUTONOMJĘ UNIWERSYTECKĄ[1]

1. STAN AUTONOMJI UNIWERSYTECKIEJ W RÓŻNYCH KRAJACH

Walka o autonomję uniwersytecką, zagrożoną znowu obecnie wielce przez Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 27 paźdz. 1932 (Dz. U. R. P. z 29 paźdz. 1932 Nr. 94 poz. 819), jak również i przez nowy projekt Ustawy o szkołach akademickich, zmieniający zasadniczo Ustawę takąż z dn. 13 lipca 1920, nie jest objawem nowym, przeciwnie przez cały XIX wiek w państwach, zwłaszcza absolutystycznych, gdzie biurokracja urzędnicza miała przemożny wpływ, walka ta stale była narzucana wyższym uczelniom. Była prowadzona stale ze zmiennem szczęściem dla wyższych uczelni, a zarazem i dla państw tych. Każda klęska polityczna tych państw, prowadząca do osłabienia siły biurokracji, a do wzmożenia siły społeczeństwa, przywraca zawsze dawny autorytet i siłę wszechnic, zwiększając rozmiar ich autonomji. Odwrotnie każde zwiększenie siły czynnika biurokratycznego, nieodpowiedzialnego, przeciwstawiającego się społeczeństwu, choć zawsze kończące się klęską państwa i kraju, wyładowywało swą niechęć do żywiołów społecznych przedewszystkiem i najpierw na wszechnicach, jako ogniskach wolnej, niezależnej od biurokracji, myśli naukowej. Oczywiście taka Anglja, gdzie idea samorządu najmocniej utwierdziła się, w najszerszym zakresie, we wszystkich działach życia publicznego, tych walk o autonomję uniwersytecką nie przechodziła i zapewne nigdy, póki poczucie konieczności samorządu dla życia angielskiego nie zamrze w duszy angielskiej, przechodzić ich nie będzie. Ale już Francja, jeżeli weźmiemy choćby tylko XIX w. od czasów napoleońskich, militarnych i twardych swoją centralizacją biurokratyczną, trwającą mimo zmiany systemów rządowych, aż do ostatnich prawie czasów, miała w zakresie życia swych uczelni ciężkie bardzo czasy, o których niechętnie mówią profesorowie francuscy.

Tylko lotny genjusz francuski i jego nieporównana giętkość i elastyczność, zarówno w stosowaniu przez biurokrację francuską samych praw uniwersyteckich, jak i wytrzymałość tego nacisku biurokratyzmu przez uczelnie wyższe, ratowały wolną myśl francuską od skostnienia i upadku, zostawiając wiele przepisów istotnie na papierze, nie wykonywanych, a przeto nie dotykających właściwie swobody myśli naukowej i wewnętrznego samorządu uczelni.

W niemieckich wszechnicach stare swobody uniwersyteckie, pochodzące jeszcze często ze średniowiecza, pozostały prawie całkiem nietknięte co do wewnętrznego życia uczelni i ich stosunku do młodzieży. Najsurowsi i zakamieniali biurokraci pruscy, gwałcący często różne samodzielniejsze objawy społeczne, byli przeważnie dziwnie łagodnie usposobieni wobec swoich wszechnic, gdzie *Professorenkollegium* pozostawało zawsze dla nich instytucją wysokiej powagi i specjalnego autorytetu, a wybryki młodzieży, choćby *Judenhetze* spotykały się zawsze z największem pobłażaniem danych komilitonów, pamiętających swoje młodzieńcze, rozhulałe chwile, choćby nawet bardzo drastyczne, ale owiane dla nich jakąś uroczną tężyzną młodości i niefrasobliwością życiową. Z moich czasów uniwersyteckich halskich i lipskich, chociaż mi narodowo obcych, wyniosłem wszakże wspomnienia dużej swobody akademickiego, studenckiego życia, swobody bardzo łagodnie hamowanej przez władze dyscyplinarne senatów akademickich, dokąd policja nie miała wstępu.

Przy tej zupełnej swobodzie autonomji uniwersyteckiej i przy wysokim autorytecie, przyznawanym profesorom przez wszystkie czynniki najwyższe: państwowe i społeczne, raziła jednas nas, Polaków, ta dziwna nadczułość profesorów niemieckich na tytuły państwowe „*Geheimrat*'ów", któremi starsi profesorowie zwykle obdarzeni byli; nadczułość ta do tego stopnia była posunięta, że nieużycie tego tytułu przy zwracaniu się studenta

do profesora zwykle wywoływało u profesora żywą niechęć, dochodzącą często nawet do udawania, że się nie słyszy tego studenta, który o tym *Geheimrat*'cie zapomniał. Nie należało jednak z tego znów pośpiesznie i powierzchowie sądzić, jakoby profesor niemiecki uległ całkowicie biurokratycznej pysze. Nie — to była tylko jego, zgodna zresztą z ogólnym charakterem niemieckim, słabostka tytułomanji urzędowej, która przeszła też i do austrjackich urzędniczych stosunków. Tu jednak tytuł „*Hofrat*'a“, nadawany często starszym profesorom austrjackim, a między nimi i galicyjskich uniwersytetów, niezbyt się przyjął w potocznem, akademickiem życiu. Zawsze w Krakowie i we Lwowie tytuł profesora był uważany za zupełnie wystarczający dla honorowania profesora, a z „*Hofrat*'em“ w tytułowaniu rzadko niezmiernie można się było spotkać, tak samo polscy radcy dworu nie wiele z niego, z małemi wyjątkami, dosyć ośmieszanemi, sobie robili.

2. WALKA O AUTONOMJĘ UNIWERSYTECKĄ W DAWNEJ AUSTRJI

Jednakże biurokracja austrjacka, może najgłupsza z biurokracyj europejskich, nie ustawała w zabiegach, aby stanowisko uczelni wyższych, jako autonomicznych ciał, możliwie ograniczyć i zmniejszyć, oraz doprowadzić je do stanowiska, podległego centralnym urzędom państwowym. Spotykały się te dażenia jednak z ciągłym odporem, który, zależnie od tego, jak się kształtowały siły walczących stron, biurokracji z jednej strony, a sił społecznych z drugiej strony, raz bywał na jakiś czas przytłoczony, by znów, po pewnej klęsce biurokracji, odzyskiwać na sile i bronić skutecznie autonomji uniwersyteckiej.

Zachował się w moich rękach łaskawie mi udzielony przez Czcigodnego profesora śp. Stefana Jentysa odpis referatu, napisanego przez niego na życzenie Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego pod tytułem „Referat w sprawie stanowiska społecznego i poprawy bytu materjalnego profesorów uniwersytetu“, zdaje się z 1912 czy 1913 roku.

Jaki był los tego referatu, przesłanego prawdopodobnie do Wiednia, czy uległ zapomnieniu i pozostał w archiwach, jako nieodpowiadający zapatrywaniom sfer biurokratycznych wiedeńskiego ministerstwa oświaty, czy, być może, wojna przeszkodziła uwzględnieniu jego postulatów, — nie wiem.

Ciekawy jest on i dzisiaj dla nas, gdyż wskazuje na ciągłe usiłowanie biurokracji wiedeńskiej pomniejszenia autonomji uniwersytetów, oraz wskazuje z drugiej strony na odporne dążenia uniwersytetów, a nawet znów i na objawy przychylne dla autonomji — najwyższej władzy. Myślą przewodnią tego referatu było przekonać władze ministerjalne wiedeńskie, iż „charakter działalności profesora uniwersytetu wskazuje, że praca jego różni się zasadnicze od funkcyj państwowego urzędnika i że szukanie dla stanowiska profesora, między innemi sposobami, właściwego miejsca w szeregu rang urzędniczych nie jest odpowiednie, a niewłaściwość ta, sprzeczna z duchem aktów erekcyjnych i z historycznem stanowiskiem uniwersytetów, jest niepożądaną spuścizną dawnych czasów“.

Te stałe usiłowania biurokracji wtłoczenia profesorów do jakichś rang urzędniczych, które dla niej były alfą i omegą ich żywota, wyrażają się w różnych dekretach kancelarji nadwornej: n. p. dekret z lutego 1791, zaznacza, że naukowe zasługi profesorów uniwersytetu nagradzać należy nietylko remuneracją i podwyższeniem płacy, ale także i podwyższeniem rangi. Dekret znów z 2 marca 1792 wyznacza profesorom uniwersytetu miejsce po c. k. radcach, a dekret z 24 paźdz. 1811 r. wlicza ich do siódmej klasy djet, dekret zaś z 24 marca 1815 oznajmia, że cesarska wola nie wyklucza profesorów uniwersytetu „od łaski noszenia munduru“. To obdarzenie mundurem urzędniczym nastąpiło jednak w Austrji w czasach, o których się pisze (powtarza to prof. Jentys), że „duch nauki z wszechnic Austrji ustąpił, a żaden z profesorów nie zdobył sławy“.

Późniejsze jednak prawodawstwo austrjackie, jak podnosi to prof. Jentys, przez czas jakiś, nie widziało konieczności nadawania stanowisku profesora wszechnicy urzędniczego charakteru. W prowizorycznej ustawie o organizacji uniwersytetów (w dobie porewolucyjnej) z 30 września 1849, jak również i w Najwyższem rozporządzeniu z 26 października 1849 r. o regulacji płac profesorskich zupełnie nie ma mowy o zaliczaniu profesorów do jakiejkolwiek klasy rangi: Kwestja ta była jakby z rozmysłu pominęta, a dawniejsze postanowienia nadwornych dekretów, ani nie zmienione ani podtrzymane nie zostały. Dopiero Ustawa o płacach z dnia 9 kwietnia 1870 wyraźnie zalicza znów w § 9 profesorów zwyczajnych do kl. VI, a nadzwyczajnych do VII klasy rangi urzędników państwowych, a rozporządzenie ministerjalne w 20 lat potem z 3 grudnia 1890 obdarza profesorów nawet obowiązkiem munduru urzędniczego, chociaż np. jeszcze w 1870 orzeczenie Trybunału państwowego z dnia 20 lipca uznaje odrębność stanowiska profesorów, stwierdzając, że profesor nadzwyczajny przez nominację na dyrektora kancelarji uniwersyteckiej przestaje być „państwową osobistością nauczycielską“ (*Staatslehrperson*), a staje się „urzędnikiem państwowym“ (*Staatsbeamte*). Owe rozweselające nas teraz subtelne rozróżnienia, przez biurokrację austrjacką stosowane, wskazywały, że te stare dążenia biurokratyczne kierowały się wciąż, nie umiejąc sobie z tem poradzić, do wciągania i profesorów wszechnic do kół biurokratycznych przez wyznaczanie profesorom (bez ich starania się o to) stopni pewnych w klasyfikacji urzędniczej, co z biegiem czasu przyczyniło się do wytworzenia stosunku, jak słusznie podkreśla w swym referacie pref. Jentys, wprost szkodliwego dla postępu wiedzy i dla należytego spełniania zadań wyższego zakładu naukowego — stosunku między władzami uniwersyteckiemi, a władzami administracyjnemi ministerstwa.

Mianowicie doprowadziło to do tego absurdu, że „urzędnik administracji, wyższy rangą, przeznaczony do spraw uniwersyteckich, uważać się mógł niejako za przełożonego wyższego rangą, któremu przysługuje prawo ostatecznego rozstrzygania o sprawach naukowych i lekceważenia ciał profesorskich, jakkolwiek jako nie pracujący naukowo i nie odczuwający potrzeb nauki (podkreśla to prof. Jentys) nie mógł mieć dla spraw naukowych właściwego zrozumienia — i wskutek tego w spra-

wach, od których zależy rozwój uniwersytetów i ich owocna działalność, miała często głos decydujący władza administracyjna, której właściwie może przysługiwać tylko prawo pieczy nad stroną formalną funkcyj najwyższych uczelni".

Te usiłowania biurokratyczne, wyrażone w rozmaitych, licznych dekretach władz administracyjnych austrjackiego Ministerstwa oświecenia, przyczyniające się niezawodnie do celowego obniżania powagi uniwersytetów i pozbawiania ich jedynie właściwego charakteru, jaki w przeszłości posiadały, często kolidowały z temi staremi prawami, jakie im wola cesarska, lub też nowoczesne, późniejsze prawomocne ustawy z tejże woli wypływające nadawały lub conajmniej ich nie odbierały. Naprzykład, jak przytacza prof. Jentys, w akcie erekcyjnym najmłodszego uniwersytetu w Czerniowcach (na Bukowinie) z dn. 30 września 1875 r., a więc po tych dekretach ministerjalnych, wyrażona została „Najwyższa wola cesarska" o niezależności uniwersytetów w następujących słowach: „*Wie wollen insbesondere, das diese Uniwersitäl inneshalb des geltenden akademischen Rechtes eine mit voller Selbstständigkeit und Autonomie ausgerüstete Korporation bilde, welche ihre innere Angelegenheiten frei ordnet und verwaltets*". Nawet w czasach rozpoczynającej się reakcji po ruchu rewolucyjnym 1848, dekret austrjackiego Ministerstwa Wyznań i Oświecenia z dnia 24 listopada 1849 stwierdza daleko idącą niezależność uniwersytetu, orzekając, że władze naukowe nie podlegają w sprawach naukowych namiestnictwom, a od naczelnika kraju są zależne o tyle tylko, o ile ciąży na nim, jako zastępcy cesarskiego rządu, obowiązek straży, w powierzonym jego opiece kraju, nad wykonaniem ustaw w całej ich rozciągłości. Nawet, co może poprostu zadziwić w epoce zupełnej reakcji, w 1851 toż Ministerstwo W. i O. P. wzywa reskryptem z 5 lipca władze akademickie, aby korzystały w całej pełni z przyznanej im niezależności, któraby się stała pozorem, jeżeli, zamiast działać śmiało i z poczuciem samodzielności, władze te będą odnosić się do Ministerstwa z zapytaniami, przedkładać akta do rozstrzygnięcia i prosić o wskazówki. Wedle zdania ówczesnego Ministerstwa, taka za daleko posunięta trwożliwość nie będzie też korzystną dla wzmocnienia powagi władz akademickich, tak wobec uczącej się młodzieży jak wobec urzędów państwowych.

Doprawdy można z pewną zazdrością spoglądać na to rozumne pismo austrjackiego Ministerstwa z czasów reakcji, która jednak przed autonomją uniwersytetów uważała za konieczne, przynajmniej czasowo, zatrzymać swe centralistyczno-etatystyczne, „państwowe" zapędy, nawet dodając odwagi tym sferom uniwersyteckim, które z oportunizmu obawiały się stanąć na gruncie samodzielnego działania. Jakżeby przydało się takie pismo i dzisiaj...

Jednakże rozwijająca się coraz bardziej i utwierdzająca austrjacka biurokracja, która chciała być główną, jeśli nie jedyną więzią państwowego życia austrjackiego, mimo powyższych aktów cesarskich i dekretów parlamentarnych ministrów, dążyła przez niezliczone podrzędne rozporządzenia i wyjaśnienia ministerjalnych referentów, do swego głównego celu (pomimo, że ustawodawstwo co do wszechnic od dn. 21 grudnia 1867 należało do zakresu działalności Rady Państwa), dążyła więc do pozbawienia uniwersytetów autonomicznych swobód przez nie ongi posiadanych. Już w 1878 r. ogłoszono drukiem zdanie jednego z szefów sekcji Ministerstwa Oświaty, które świadczyło wyraźnie o wrogiej intencji co do ingerencji biurokratycznej w sprawy uniwersyteckie, a mianowicie, że na razie nie było to wcale szkodliwe, gdy po wprowadzeniu w życie ustawy z 1849 (o czem było powyżej), zwracano może więcej uwagi na czysto naukowe zadania uniwersytetów, niż na bezpośrednie państwowe interesy i że pod tym względem do czasu można było znosić nawet pewien nadmiar. Ten ton i ten język jakże nam przypomina obecne tendencje „wychowania państwowego", po 83 latach, gdy Austrja w gruzy się rozpadła, w niemałej mierze także dzięki swej biurokracji!!

Te zapatrywania „państwowe" biurokracji wiedeńskiej znalazły (jak pisze prof. Jentys) oddźwięk nawet w orzeczeniu najgłówniejszej twierdzy biurokratycznej, w Trybunale państwowym z dnia 21 kwietnia 1886 r., który stwierdza nagle, wbrew powyższym aktom cesarskim choćby z 1875 o Czerniowieckim Uniwersytecie, i wbrew powyżej wymienionym reskryptom ministra z 1849 i 1851 r., że Senat akademicki jest w stosunku do Ministerstwa Oświaty podwładną władzą, pozbawioną prawa wnoszenia zażaleń, a uniwersytety są zakładami państwowemi, podległemi co do urządzeń i zarządu rozporządzeniom władzy centralnej. Pomimo, że pogląd ten Trybunału Adm. nie był zgodny z aktami erekcyjnemi uniwersytetów i nie opierał się na prawomocnej ustawie Rady państwa i nawet rozsądnym sferom urzędniczym wydawał się sprzecznym z cesarskiemi postanowieniami, a wolność akademicką, nadaną Uniwersytetom przez ustawodawstwo w znacznym stopniu anulował, to jednakże urzędnicy ministerjalni niejednokrotnie na tem orzeczeniu Trybunału Adm., jako wykładni praw, opierali swoje rozporządzenia wykonawcze i wyjaśnienia w sprawach spornych, przyczyniając się do tego, że praca profesorów wszechnic tak naukowa, jak i pedagogiczna odbywała się w coraz trudniejszych warunkach, co musiało się odbijać fatalnie na rozwoju nauki, zwłaszcza, gdy często najniezbędniejsze środki, jak to stwierdza prof. Jentys, zdobywały austrjackie uniwersytety dopiero pod groźbą wieców i strajków młodzieży. Na tem zaś cierpiała powaga grona nauczycielskiego, gdy władze administracyjne (ministerstwa) wobec opinji profesorów zachowywały się obojętnie i dopiero ustępowały po gwałtownych żądaniach ze strony uczących się. Często w tem postępowaniu mniej były nawet winne bezpośrednie administracyjne urzędy Ministerstwa Oświaty, aniżeli urzędnicy Ministerstwa Skarbu, którzy raczej byli skłonni bronić Ministerstwa Skarbu przed wydatkami, aniżeli zaspokajać potrzeby nauki, które jeszcze mniej rozumieli od referentów Ministerstwa Oświaty. Traktując w ten sposób potrzeby naukowe Uczelni Wyższych, w sposób nierealny i pogardliwy, chciał biurokratyzm austrjacki łagodzić to brutalne często i nieustępliwe stanowisko wobec potrzeb nauki przynajmniej przez pewne awanse osobiste dla profesorów, poza orzeczeniami samych kolegjów profesorskich, nadając bez pytania senatów, profe-

sorom zwyczajnym rangi radców dworu, to jest zmianę rangi VI-tej na V-tą, a profesorom nadzwyczajnym z VII rangą tytuły profesorów zwyczajnych z VI rangą. Zapominano przytem, że godność profesora uniwersytetu, jako dostępna dla pracujących na polu nauki, jest najwyższą godnością, jaką na tem polu w społeczeństwie zdobyć można i tytuł radcy dworu niczem uroku tej godności nie podniesie i jest zupełnie zbyteczny: Chciano, myśląc biurokratycznie, profesorów do siebie upodobnić i temi małemi ambicjami związać, aby zato uderzyć na właściwe dawne wolności samorządu uniwersyteckiego, z któremi biurokracja nie mogła się pogodzić. I dziwnem było, gdy chciano odmawiać senatom i władzom uniwersyteckim tych stosunkowo nieznacznych praw i przywilejów z zakresu administracji uniwersytetów pod pozorem, że to może być spełniane tylko pod ścisłą kontrolą i kierunkiem odnośnych referentów ministerjalnych, jakoby do tych czynności specjalnie i jedynie zdolnych, a tymczasem ci nieudolni rzekomo do tej administracji wewnętrznej i finansowej uniwersyteckiej byli przez najwyższą władzę powoływani do rządzenia państwem, jako Ministrowie Skarbu, czy Komunikacji, czy innych olbrzymich, administracyjnych resortów państwowych, do których okazywali się zdatnymi i udolnymi. Ta niekonsekwencja życiowa oczywiście była rażąca, bo nikt z tych panów referentów ministerjalnych nie mógł wyjaśnić i udowodnić, że Dunajewski jako Minister Skarbu całego państwa może być do tego zdatny, a tenże Dunajewski, jako rektor, czy dziekan, czy profesor w Senacie nie może mieć *eo ipso* tych administracyjnych czy skarbowych zdolności: tak samo Głąbiński, Piętak, Chłędowski, Bobrzyński i inni profesorowie, jako ministrowie mogli być powołani, jako *Ministerialfähige Männer*, ale jako profesorowie w radzie Senatu lub Fakultetu tracili nagle te swoje twórcze właściwości.

(D. c. n.) STEFAN SURZYCKI

PRAWO MNIEJSZOŚCI

WSZYSTKIE społeczeństwa nowoczesne mają za sobą okres, kiedy ogół narodu nie miał władzy nad pewnym rodzajem mniejszości, kiedy, przeciwnie, pewna mniejszość miała albo władzę nad ogółem np. w republikach arystokratycznych i oligarchicznych, albo cieszyła się przywilejami, które ochraniał rząd monarchiczny. Taką mniejszością uprzywilejowaną była — że przytoczymy tylko kilka uderzających przykładów — arystokracja wenecka i polska, którym służył cały ustrój tych państw, arystokracja angielska, oszańcowana w Izbie Lordów, pruska, zabezpieczona (do roku 1918) za pomocą kuryj majątkowych. Nieraz naród panujący w państwie zabezpiecza swym rodakom sztuczną reprezentację z okręgów, gdzie są oni w mniejszości, wydzielając ich w osobną kurję narodowościową (Rosja w latach 1907 do 1917).

Od XVIII-go wieku programy demokratyczne wszystkich krajów zmierzają do odebrania takich przywilejów mniejszościom społecznym. Etapami tego dążenia były: akt zjednoczenia Stanów Generalnych francuskich w Zgromadzenie Narodowe w roku 1789, reformy wyborcze angielskie (1832, 1867, 1884, 1918) oraz francuskie (1793, 1830, 1848), agitacja chartystów, reforma wyborcza austrjacka 1907 roku i t. d.

Dziś już niema na świecie państwa, któreby albo w przeszłości albo w teraźniejszości nie zaznało wszechwładzy większej liczby nad wszystkimi i każdym z osobna. Przekonano się wszędzie o słuszności słów Tocqueville'a, że w demokracji przeważająca opinja dusi wszelki pogląd przeciwny, to też więcej odwagi trzeba, by oprzeć się *vox populi*, niż rozkazowi panującego. Pod wrażeniem radykalnych uchwał francuskiej Konstytuanty, gwałcących uczucia i prawa nabyte ogromnego odłamu Francuzów, angielski publicysta i mąż stanu Edmund Burke pierwszy zaatakował zasadę majoryzacji i ośmieszył ową „umowę pierwotną“, z której Locke i Roussesau wywodzili panowanie liczby (prawo większości). Z pobudek ideologicznych, niezależnie od interesu klasowego, występowali przeciw wszechwładzy większości myśliciele niemieccy: Kant, Humboldt, Schlösser, Szyller włożył w usta Polakowi Sapieże własną swoją myśl: „*Was ist die Mehrheit? Mehrheit ist der Unsinn! Verstand ist stets bei Wen'gen nur gewesen*: *Der Staat muss untergehen früh oder spät, Wo Mehrheit siegt und Unverstand entscheidet*“. Fichte przyznawał przegłosowanym prawo emigracji bez straty majątku i żądał dla ważniejszych decyzyj prawie jednomyślnych uchwał (np. $^7/_8$ głosów). Podobnie zwalczali despotyzm ogółu Benjamin Constant, Laboulaye, Rotteck. W oczach Proudhona: „*La démocratie n'est autre chose que la tyrannie des majorités*“, bo też, jak dodaje znany ekonomista Roscher (1890), ten tyran ma największą siłę fizyczną, niezliczone oczy, uszy i ręce i jest, rzec można, wszechobecny, bezwstydny i nieodpowiedzialny. Herbert Spencer z tem większym zapałem występował przeciwko „boskiemu prawu parlamentów“, że już za jego czasów ustawodawstwo większościowe zaciężyło mocno nad wolnością gospodarczą jednostki: według Spencera większość właściwie tam tylko powinnaby decydować, gdzie jej to przyznano w drodze umowy. Słynne jest powiedzenie ibsenowskiego bohatera D-ra Stockmana, że większość nigdy nie ma racji. W Polsce współczesnej próbowali bronić zasadniczego pierwiastka *liberum veto* filozofowie Świętochowski i Lutosławski, w Rosji sympatyzował z tą ideą Lew Tołstoj.

Nieraz zresztą przez usta krytyków zasady większości przemawiał interes — słuszny lub niesłuszny — pewnych czynników społecznych, zagrożonych wyzyskiem lub zniszczeniem przez większość. John Calhoun wychodził z założenia, że równych jednostek społecznych, któreby można liczyć przy zbiorowych decyzjach, wogóle nie ma, to też każda grupa godziwych interesów ma naturalnie prawo *veta*, i dopiero zespół takich mniejszości może utworzyć zdolną do decydowania „*concurrent majority*“: teorja ta zmierzała do zachowania niewolnictwa w południowych stanach Unji. Profesor heidelberski, Georg Jellinek napisał swą znaną rozprawę: „*Das Recht der Minoritäten*“ (1898), w trosce o los żywiołu niemieckiego w dawnej Austrji. Profesor berliński, Otto v. Gierke odrzucał „atomi-

styczne“ teorje szkoły prawa naturalnego, na ich miejsce zbudował teorję „organiczno-historyczną“, iż liczba sama przez się nie nadaje się na regulatora stosunków wewnętrznych w państwie: oprócz niej konieczne są inne regulatory, i dopiero dostosowana do nich większość może działać w danych warunkach, jako organ zbiorowości: prawdopodobnie owe regulatory obmyślał znakomity uczony na korzyść pruskiej arystokracji i plutokracji.

Zastrzegali się przeciw majoryzacji w dziedzinie gospodarczej uczniowie Proudhona, syndykaliści, wiedząc dobrze, iż przeważna część parlamentu nie przejmie się ich sposobem myślenia i nie zechce pisać ustaw po myśli sfederowanych organizacyj wytwórców; rewolucyjni socjaliści nie przez głosowania, lecz drogą zamachu na kapitał myślą wywalczyć lepszy ustrój społeczny. Do podobnych krytycznych wniosków dochodzi — z przeciwległego krańca — nacjonalizm (Georges Valois, Maurras), ponieważ dla dobra wiekuistego narodu należałoby raczej oddać rządy najrdzenniejszej elicie, najczyściej wyrażającej duszę narodu, niż lada jakiej partji zwycięskiej na wyborach; wybory o tyle są dobre, o ile wyłaniają na wierzch elitę, zdolną do do kierowania narodem.

Z całej tej rozmaitej reakcji przeciw rządom większości zrodziło się prawnicze pojęcie praw mniejszości, którego nie należy utożsamiać ani ze średniowiecznym oporem jednostek, prowincyj i klas, ani z nowożytną obroną praw indywidualnych. W Wiekach Średnich, kto negował uchwałę kolegjum czy zjazdu, czynił to w imię swego *noli me tangere*, osłoniętego przywilejem i immunitetem: ani rycerz, ani gmina miejska nie byli zobowiązani do ofiar ponad normę, zawartą w układzie z suzerenem. W XIX wieku jednostka żądała poszanowania swych praw, choćby występowała samotnie, bez oparcia o grupę podobnych. Mniejszość, w ścisłem pojęciu, oznacza liczbą mniejszą w przeciwieństwie do większości, ale liczbę dostateczną, i tylko z tą ilościową kwalifikacją może zgłaszać pewne roszczenia.

Wprawdzie już bardzo dawno uznawano, i przyznawali to nawet absolutyści, jak Loyseau i Hobbes, — że istnieją pewne prawa pierwiastkowe, których nie może zmienić zwykłe ustawodawstwo. Według wyznawców umowy pierwotnej, te prawa fundamentalne były właśnie warunkami owej umowy, więc można je zmienić tylko za zgodą wszystkich. Rousseau przyznawał, że im sprawa jest donioślejsza, tembardziej większość, która ją forsuje, powinna się zbliżać do jednomyślności. Zgodnie z tem w różnych konstytucjach stanów Ameryki Północnej żądano do zmiany ustroju większości $^3/_5$ głosów (Rhode Island 1842), $^2/_3$, $^3/_4$ głosów, bądź w izbie niższej, bądź w wyższej, bądź w obydwóch. W wielu Stanach obowiązuje kwalifikowana większość także przy innych głosowaniach, mianowicie, gdy pierwsza uchwała została skasowana przez gubernatora: chodzi tu o to, aby zmuszać obóz silniejszy do kompromisu z interesami przynajmniej niektórych mniejszości, albo do popierania spraw oczywiście dobrych dla całego niemal społeczeństwa. Sam udział senatu Unji w uchwalaniu ustaw wspólnych poważnie już ogranicza majoryzację, ponieważ senat reprezentuje nie liczbę, ale indywidualność krajów większych i mniejszych. Pozatem mniejszość znajduje ochronę prawną w sądach, z Sądem Federalnym na czele, gdzie można osiągnąć obalenie ustawy, niezgodnej z konstytucją; zresztą i te ustawy, których się w sądzie obalić nie udało, napotykają opór mniejszości, gdy je stosują organy wykonawcze Stanów.

Zasadniczo trzeba przyznać, że prawo mniejszości sięga wszędzie tak daleko, jak daleko idzie ochrona praw jednostki; dalsze ograniczenia dadzą się uzasadnić tylko o tyle, o ile nie przejdą w tyranję mniejszości nad większością albo nie prowadzą do rozbicia ciała politycznego. Odróżnić tedy należy mniejszości polityczne, to jest różniące się tylko poglądem politycznym na pewne sprawy, od mniejszości gospodarczych (organicznych) i od mniejszości narodowych oraz religijnych. Mniejszość polityczna (partyjna), jak to słusznie powiedział Cobden, ma tylko jedno prawo naturalne: zrobić wszystko, by pozyskać umysły i stać się większością. Mniejszości organiczne, zespolone zbiorowym interesem odrębnej części społeczeństwa i odrębną funkcję gospodarczą, potrzebują pewnej ochrony, a przedewszystkiem należytej organizacji, aby nie zginąć pod zalewem liczby ze szkodą dla społeczeństwa. W imię ich dobra proponuje się tedy reprezentację organiczną (zawodów zorganizowanych w izby), przyczem jedni chcieliby taką reprezentację postawić na miejsce „rosproszkowanego“ przez powszechne prawo wyborcze parlamentu, inni zalecają ją zamiast izby wyższej, jeszcze inni obok dwóch izb parlamentu chcą utworzyć naczelną izbę gospodarczą lub izbę pracy, jako organ inicjatywy i organ opinjodawczy obok przedstawicielstwa narodowego. Jak w tej izbie gospodarczej ma dochodzić do porozumienia między poszczególnemi czynnikami, to zależałoby od miejscowych stosunków.

Mniejszości narodowe i wyznaniowe nie dadzą się argumentami i głosowaniem masowo nawracać, ani sprowadzać do wspólnych mianowników; gdzie znalazły się one w antagonizmie, tam nie było innej rady, jak wyjąć pewne sprawy z zakresu wspólnych uchwał i pozostawić w tej dziedzinie autonomję niezgodnym żywiołom: tak robili Szwajcarzy w niektórych kantonach od czasu Reformacji, podobnie dawny sejm Rzeszy Niemieckiej dzielił się od czasu do czasu na *Corpus Catholicorum* i *Corpus Evangelicorum (Itio in partes)*.

W parlamencie mniejszość broni się za pomocą regulaminu i taktyki. C. Redlich sądzi, że przepisy regulaminowe przeważnie powstawały w interesie mniejszości, która bez nich skazana byłaby na niemotę. Do tego służą przepisy o liczbie głosów, wystarczających do inicjatywy ustawodawczej, do wnoszenia interpelacyj, do żądania głosowania imiennego, do sprzeciwiania się zmianie porządku dziennego i t. p. Groźbą wycofania się z parlamentu mniejszość wymusza ustępstwa, bo może w pewnych sytuacjach zdekompletować izby, w innych wywołać wzburzenie wśród swych wyborców. Duże wpływy osiąga mniejszość, gdy wejdzie do rządu koalicyjnego, którego byt zależy nadal od dogadzania jedynej partji, jaka raczy współpracować z resztą; kiedyindziej, nie wiążąc się na stałe z żadną stroną izby, szczupła mniejszość wygrywa swe pośrednie stanowisko, popierając naprzemian to prawicę to lewicę, jak to czynił Parnell z Irlandczykami za czasów Gladstone'a. Gdy to nie pomaga, mniejszość udaremnia obrady za pomocą obstrukcji parlamentarnej (długie mowy, wnioski formalne), niekiedy brutalnie fizycznej (Niemcy w b. Austrji pod koniec XIX wieku).

Od materjalnych praw mniejszości odróżniać należy ich prawo formalne t. j. prawo do

posiadania słusznej reprezentacji w parlamencie i samorządzie. Zwykłą reprezentację mniejszości osiąga się przez głosowanie na listy przy okręgach wielomandatowych; im szczuplejsza mniejszość, tym więcej trzeba mandatów w jednym okręgu, aby jej zapewnić choć jedno miejsce. Bywają tedy okręgi dwumandatowe (jeden dla większości, drugi dla mniejszości), trzymandatowe (z nich dwa dla większości) i t. d. Wyborców dzieli się niekiedy na kurje narodowościowe, o ile zaś tego niema, każdy wyborca, albo głosuje nie na całą listę (głosowanie ograniczone) albo może oddać na jednego kandydata tyle głosów, ile jest mandatów w okręgu (głosowanie skupione): pod tym warunkiem solidarna, dobrze kierowana mniejszość może przeprowadzić swego kandydata. W dalszym rozwoju tej myśli powstała — głównie za sprawą J. St. Milla i Hare'a, — zasada reprezentacji proporcjonalnej, która zapewnia każdej mniejszości liczbę mandatów, odpowiadającą jej sile liczebnej. Że ta próba ochrony praw mniejszości blisko jest spokrewniona z pomysłem reprezentacji organicznej, świadczy fakt, iż czasem ten sam publicysta (Ch. Beniost) zaczynał od chwalenia reprezentacji organicznej, a przechodził do obozu „R. P.", albo zaczął od „R. P.", a kończył na żądaniu reprezentacji organicznej.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

WYZNANIA I MARZENIA DISRAELEGO

W CZASACH, gdy sprawy żydowskie i stosunek żydów do społeczeństw aryjskich, czy rozważany na tle zagadnień bieżących, czy traktowany historycznie, są przedmiotem żywego zainteresowania, raz po raz wypływa w artykułach dziennikarskich ten lub ów tytuł powieści Disraelego, w których występuje Sidonia. Młody podówczas autor pokusił się w tej postaci równocześnie o nakreślenie typu międzynarodowego potentata finansowego i wyidealizowanego typu żyda, dał jej nadto silny podkład subjektywny. Nie od rzeczy będzie poświęcić postaci Sidonii nieco uwagi, przypomnieć ją w paru słowach i wskazać rysy, ważne ze względu na rozwój nacjonalizmu żydowskiego i pozycji żydów w świecie.

Urodzony w r. 1804 jako syn sefardyjskiego żyda, przybyłego do Anglji z Wenecji, a wywodzącego swój ród z Hiszpanji, Benjamin Disraeli wcześnie rzucił adwokaturę, aby poświęcić się polityce i literaturze. Pragnął gorąco wejść do Izby Gmin, ale okazało się to początkowo dość trudnem. Jadał z niejednego pieca i przepadał przy wyborach to jako radykał, to jako torys. Zrażał sobie ludzi swą rasową fizjognomją i swą pozą dandysa, ubierającego się z widoczną ekscentrycznością. Ostatecznie jednak w r. 1837 został członkiem parlamentu i po pierwszej mowie, nieudanej i przerywanej śmiechem Izby, zaczął powoli wybijać się w stronnictwie konserwatywnem.

Miał już wówczas za sobą pierwszą serję powieści, najbardziej zbliżonych do niby-obyczajowych utworów Bulwera. Pełno tu bajronizmu, afektacji i fałszywego patosu. Parlament na jakiś czas odciągnął Disraelego od działalności literackiej, do której wrócił on w r. 1844, pozostając przy dawnym tonie, ale wprowadzając do powieści jako pierwszorzędnej wagi pierwiastek zagadnienia polityczne. Powstał teraz rodzaj trylogji, „Coningsby" (1844), „Sybilla" (1845) i „Tankred czyli Nowa Krucjata" (1847).

Akcja miłosna wszystkich trzech utworów, konwencjonalna i pozostająca naogół na drugim planie, wogóle nie może dziś zainteresować. Bardziej zajmujący jest satyryczny obraz arystokracji i kół politycznych Anglji, ale przedewszystkiem są te powieści dokumentami historycznemi. Pod tym względem najważniejszy jest „Coningsby".

Disraeli wykłada tu doktryny kółka, które powstało na uniwersytecie w Cambridge i przybrało nazwę młodej Anglji. On sam wówczas do niego nie należał, podwoje starych wszechnic angielskich były przed nim zawarte. Ale rozglądając się za grupą, w której możnaby odegrać wybitną rolę, przyłączył się później, wysunął na czoło i *mutadis mutandis* urzeczywistnił z czasem idee „młodych Anglików", tworząc partję neokonsewatywną, skłonną do ujmowania reform w swe ręce i dążącą do wzmocnienia stanowiska korony, a na zewnątrz mocno imperjalistyczną.

„Coningsby" miał jednak nadzwyczajne powodzenie nie tyle jako *credo* pewnej grupy politycznej, lecz raczej jako galerja współczesnych postaci. Parokrotnie ogłaszano nawet klucze, identyfikujące osoby powieści z rzeczywistemi. W Sidonii widziano portret Alfreda Rotschilda (neapolitańskiego). Niewątpliwie jednak ów wielki żyd międzynarodowy ma szereg własnych rysów autora, a nadto jest przedstawicielem i rzecznikiem swego rozproszonego narodu.

Zgodnie z tą koncepcją Disraeli wprowadza go w toku powieści niespodziewanie, nastrojowo i efektownie. Romantyczny Coningsby odbywa pieszo daleką drogę. Zaskoczony przez burzę, chroni się do wiejskiej gospody. Stojąc w oknie, spostrzega jeźdźca na wspaniałym, rasowym koniu. Spędzają razem kilka godzin, ale przybysz — co jest zupełnie zgodne z angielskiemi formami towarzyskiemi — nie odkrywa swego *incognito*. Jest to człowiek „blady, z wyrazistem czołem i czarnemi oczyma, błyszczącemi wielką inteligencją". Jego zachowanie się, „choć swobodne, cechuje imponująca godność". Słychać tu echa marzeń Disraelego, którego wygląd i manjery długo były przedmiotem żartów.

Ale trzymajmy się najlepiej własnych słów autora i niech czytelnik sobie sam analizuje. Znajdzie w nich nieraz i ujemne rysy, które zapewne Disraelemu wydawały się dodatniemi:

„Coningsby nigdy nie spotkał w życiu, ani w książkach nikogo w rodzaju tego przypadkowego towarzysza. Jego zdania były tak lakoniczne, język tak swoisty, jego głos dźwięczał tak czysto, tak doskonałą była wymowa. Miało się wrażenie, że jego umysł obznajmiony jest ze wszystkiemi przedmiotami, opinja o nich wyrobiona. W kilku słowach rysował wyniki rozumowania, rozwiązywał jednym frazesem głębokie problemy, nad jakiemi ludzie głowią się latami. Mówił wiele rzeczy, które były dziwne, a okazywały się prawdziwemi. Dalej, bez najmniejszej pretensjonalności lub popisywania się z jego strony, zdawało się, że zna zarówno wszystkich, jak i wszystko. Monarchów, polityków, pisarzy, awanturników wszelkiego typu i wszelkich części świata — o ile tylko imiona ich wypływały w rozmowie — opisywał epigramatycznemi zdaniami lub w jednym krótkim, dramatycznym rysie odsłaniał dokładnie ich sta-

nowisko, charakter, typ, do którego należeli. A to wszystko na dodatek bez jakiegokolwiek podniecenia w zachowaniu się, przeciwnie, ze spokojem, urastającym prawie w nonszalancję. Jeżeli jego sposób bycia miał jakiś błąd, był to do pewnego stopnia brak powagi. W mowie jego drgał lekki odcień kpin, nawet gdy wydawał się najpoważniejszym; wywoływały wstrząśnienie jego nagłe przejścia od głębokiej myśli do ostrego sarkazmu. Za ten brak powagi rekompensatę mogła stanowić pewna wolność od namiętności i przesądu na każdym punkcie, może stanowiła jego następstwo. Z pewnością trudno było stwierdzić dokładnie jego przekonania co do wielu przedmiotów".

W wolność od przesądów możemy uwierzyć na słowo, co do wolności od roznamiętnienia, to Sidonia i Coningsby nie mówili o żydach, więc wszystko jest w porządku. Charakterystyczny jest ów brak powagi i przejścia „od głębokiej myśli do sarkazmu". Heine? Ludwig? Ehrenburg?...

Coningsby spotyka później Sidonię po pałacach i w miejscach publicznych. Dowiaduje się, że jest to bogacz, mający po całym świecie wspaniałe rezydencje, dobra i banki, udzielający państwom i monarchom pożyczek, wywierający też potężne wpływy. Autor poświęca charakterystyce swej ukochanej postaci kilka obszernych ustępów.

„Z wyobraźnią ognistą, jak ojczysta pustynia, z intelektem promiennym, jak ojczyste niebo, łaknął, jak owa kraina, owej miękczącej rosy, bez której jałowa jest ziemia, i promienia słońca, będącego równie często gońcem zarazy, jak odradzającej łaski.

Taki temperament, choć rzadki, jest właściwy wschodowi. Był natchnieniem twórców wielkich monarchij starożytnych, proroków, których wysyłała w świat pustynia, chanów tatarskich, co cały świat zalali... to temperament, który przystoi zdobywcom i prawodawcom, ale w zwyczajnych czasach i okolicznościach darzy swego posiadacza jedynie ekscentrycznemi zboczeniami lub głęboką melancholją"

Oto myśli młodego Disraelego, zanim został „prawodawcą" wielkiego narodu — obcego. Wschodnim zdobywcom i reformatorom trzeba niezwykłych czasów i dramatycznych wypadków dziejowych, aby mogli okazać swego genjusza. Inaczej popadają „w ekscentryczne zboczenia lub głęboką melancholję".

„Jedyną ludzką zaletą, jaka przemawiała do Sidonii, był intelekt. Nie dbał on o to, skąd przychodził, gdzie go można było znaleźć; wyznanie, kraj, klasa, charakter były mu pod tym względem jednakowo obojętne".

Przykładowy komentarz do tej opieki Sidonii nad intelektem — specjalnie u różnego rodzaju artystów — znajdziemy w „Tankredzie", w formie opowiadania Baroniego, który na rozkaz Sidonii towarzyszy lordowi Montacute w Ziemi Świętej. Potentat finansowy odkrył w jednem z miast belgijskich rodzinę, dającą popularne przedstawienia o bardzo urozmaiconym programie — od śpiewu i muzyki oraz produkcyj atletycznych do żywych obrazów z męki Chrystusa. Przyjrzawszy się wszystkiemu i stwierdziwszy różnego rodzaju zdolności, Sidonia zajął się losem Baronich. Adela i Karlotta zostały wnet śpiewaczkami o światowej sławie, Michał kompozytorem, „mającym może współzawodniczyć z Meyerbeerem i Mendelssohnem", Alfred wybitnym malarzem, zdobiącym freskami Watykan i ulubieńcem papieża; siłacz, który historję opowiada, miał zamiłowanie do podróży, więc bankier zrobił go szefem swych kurjerów i swym tajnym ajentem.

Oto epilog tego budującego epizodu:

„...Jakież to dla was wszystkich szczęście, że Sidonia ma tyle uczucia dla genjuszu!"

„Trochę uczucia dla swej rasy", rzekł Baroni.
„Jak to?" wzdrygnął się Tankred.
„Pamięta pan, że szepnął coś po cichu naszemu ojcu?"
„Pamiętam."
„Mówił po hebrajsku i został zrozumiany."
„To chyba nie znaczy, że i wy jesteście Żydami?"
„Ależ tak, biednymi Sefardyjczykami, z krwi i imienia."
„Wszakże wasze nazwisko jest napewno włoskie?"
„To dobre nazwisko arabskie, milordzie. Baroni znaczy syn Aarona. Nazwisko dawnych kupców bławatnych w Londynie i kalifów Bagdadu".

Zdaje się, że w ciągu trzech lat, dzielących „Coningsby'ego" od „Tankreda", Sidonia przeszedł pewną ewolucję. Gdyby „wyznanie, kraj, klasa" były mu nadal obojętne, nie byłby urządzał owego doświadczenia z językiem hebrajskim. A może tylko autor był tym razem szczerszy?

Ilustrację do dumy, widocznej w zacytowanych słowach Baroniego, stanowi w „Coningsby'm" inny rys Sidonii. Uważa on żydów za arystokrację świata.

Hebrajczycy są czystą rasą... Czysta rasa o pierwszorzędnej organizacji — to arystokracja Natury. Taka doskonałość jest pozytywnym faktem, nie tworem wyobraźni, ceremonją, ukutą przez poetów, ozdobioną fałszerstwami heraldyków, lecz spostrzegalną w fizycznej wyższości, w sile nieskażonej odrębności.

To też Sidonia „nigdy nie byłby zmniejszył przez małżeństwo czystości swej rasy".

Flirtował, bez dalej idących konsekwencyj, po pałacach lordów i książąt, atoli

„...Coś ze starego wschodniego usposobienia kształtowało jego stosunek do kobiet. Częściej bywał za kulisami Opery, niż w swej loży; lubił także towarzystwo heter".

Czemu zawdzięczał Sidonia swoje olbrzymie wpływy w świecie?

„Nie było w Europie awanturnika, z którym nie byłby na poufałej stopie. Żaden minister nie miał takiej łączności z tajnymi agentami i politycznymi szpiegami jak Sidonia... Jego dalekie podróże, jego znajomość języków, jego śmiałe i awanturnicze usposobienie i jego nieograniczone środki pieniężne dały mu sposobność do zawarcia znajomości z tymi ludźmi, naogół tak trudnymi do wyśledzenia i do zdobycia ich życzliwego oddania. Tym źródłom zawdzięczał ową wiedzę rzeczy dziwnych i tajemnych, która nieraz wprawiała w osłupienie jego słuchaczy. I nie było łatwem, a bodaj nawet możliwem wywieść go w pole. Otrzymywał informacje z tylu i tak przeciwnych źródeł, że przy swym sądzie i doświadczeniu mógł zawsze prawie natychmiast odróżnić prawdę. Tajna historja świata była jego rozrywką. Największą przyjemność stanowiło dla niego przeciwstawiać ukryte motywy wyznawanym publicznie pretekstom działania".

Disraelemu sądzone było zostać założycielem i głową stronnictwa, głoszącego patrjotyzm brytyjski i hasła imperjalistyczne. Zobaczymy, jak zapatrywał się na stosunek żydów do poszczególnych narodów europejskich, wśród których osiedli. Oddajmy w tym celu głos Sidonii w chwili, gdy odradza Coningsby'emu karjerę dyplomatyczną:

...„Dyplomata ma ostatecznie w sobie coś widmowego. Jego byt cechuje brak narodowości. Zawsze widzę w dyplomatach Hebrajczyków polityki — bez narodowości, bez przekonań politycznych, bez powszechnie przyjętych poglądów, bez tego silnego poczucia rzeczywistości bytu, które przenika karjerę wybitnego obywatela w wielkim, wolnym kraju".

Swoją wielkość i swe miejsce w historji miał Disraeli zawdzięczać parlamentaryzmowi i miał przeprowadzić bodajże najbardziej radykalną z ustaw wyborczych, które zrobiły W. Brytanję państwem *par excellence* demokratycznem. Jakże zapatrywał się na kwestję ustroju państwa jego „żyd idealny", Sidonia?

„Tendencja daleko posuniętej cywilizacji zwraca się ku czystej monarchji... Kompromisów politycznych nie można tolerować, chyba podczas prymitywnych okresów przejściowych. Wasza Izba Gmin, która pochłonęła wszelkie władze państwowe, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa upadnie w gwałtowniejszem tempie, niż rosła. Opinja publiczna ma do wypowiadania się organ bardziej bezpośredni, bardziej pojemny, bezpośredniej działający, niż ciało, wybierane po okręgach. Prasa — oto element polityczny, nieznany czasom klasycznym i feudalnym. Ona absorbuje w znacznej mierze obowiązki monarchy, kapłana, parlamentu; ona kontroluje, naucza, omawia".

Disraeli pisał to w r. 1845, na lat trzynaście przed usunięciem chrześcijańskiego wyznania wiary ze ślubowania, składanego przez członków parlamentu, t. j. przed pełnem równouprawnieniem żydów, o które upominała się przedewszystkiem partja liberalna (wniosek przyznania żydom praw obywatelskich pojawił się już był w r. 1829, a w r. 1831 poparł go obszernym artykułem arcy-wig Macaulay). A jednak Sidonia jest zwolennikiem „czystej monarchji". Okres ludowładztwa miał być przejściowym, a przed oczyma narodu wybranego rysował się już obraz innego ustroju — z królem „wolnym od przesądów gminu i niezależnym od szerzących korrupcję interesów poddanego", z królem „nanowo boskim", jak wyraża się Sidonia, i z prasą, jako drugą, może równorzędną potęgą. Naturalnie, monarchę, czy wogóle osobnika, wyposażonego w absolutną władzę, łatwo opanować osobistemi wpływami, pochlebstwem, zaspokajaniem jego żądz i upodobań. O „korrupcję szerzące" interesy poddanego można nie dbać. A prasa — to kwestja pieniędzy.

Disraeli wielki, Disraeli premjer, Disraeli hr. Beaconsfield, Disraeli wódz partji neokonserwatywnej nie mógłby głosić takich haseł. Tem cenniejszy jest dla nas głos Disraelego małego, Disraelego na dorobku, Disraelego, który nie zrobił jeszcze ostatecznego wyboru między literaturą a polityką, Disraelego *enfant terrible*, który powiedział w powieściopisarskim zapale za dużo i odkrył czytelnikowi skryte myśli żyda z połowy XIX w.

Współwyznawcy jego odgrywali później wielkie role na niektórych dworach. Lecz wojna światowa przekreśliła gdzieniegdzie samą monarchję, a wszędzie pomysł „czystej monarchji" w stylu wschodnim. Przyniosła natomiast inne formy rządu, sprzeczne z demokracją, bo polegające na dyktaturze bądź to grupy, bądź jednostki. Potężnym ich filarem stała się uzależniona zupełnie prasa, nie tyle reprezentująca, ile kształtująca opinję publiczną, a przytem częścią żydowska, częścią zażydzona. Na rządy tego typu żydzi bardzo często stawiają, widząc w nich albo ochronę przed wrogimi sobie prądami, lub narzędzie do swych celów. Czy daleko jesteśmy dziś od ideału Sidonii?..

Brak mi tu miejsca na omówienie dwóch dalszych części trylogji Disraelego. Na jedno tylko więc zwrócę uwagę. „Tankred" opiera się na dziwacznym pomyśle: Młody lord doszedł do przekonania, że istniejące religje przeżyły się, że trzeba stworzyć nową — i w tym celu przedsiębierze wyprawę do Palestyny. Spodziewa się, że samo powietrze kraju, same jego tradycje dostarczą mu potrzebnego natchnienia. Nad lordem Tankredem czuwa Sidonia, ułatwia mu podróż, wybawia go z niebezpieczeństw — ramię magnata finansowego sięga przez lądy i morza. Naturalnie lord Tankred styka się głównie z żydami, przedewszystkiem z uroczą Ewą. Wynika z tego miłość, są różne zawikłania, ale wszystkiemu towarzyszą dyskusje religijne. Ostatecznie dochodzi do następującego djalogu:

„Uchodź, uchodź ode mnie, synu Europy i chrześcijaństwa!"

„Jestem chrześcijaninem w kraju Chrystusa", rzekł Tankred, „i klęczę przed córą rasy mego Zbawiciela. Dlaczegożbym miał uchodzić?"

„Och, to szaleństwo!"

„Powiedz raczej, natchnienie, „albowiem ja nie odejdę od tego wodotrysku, przy którym spotkaliśmy się po raz pierwszy, póki nie usłyszę,... że nasze połączone losy popchną naprzód naczelny cel życia naszego. Nie mów mi o innych, o tych, którzy mają prawo do ciebie lub do mnie. Nie mam rodziny, ani kraju".

Owym celem życia obojga ma być stworzenie nowej religji — z zapału Tankreda i genjuszu religijnego rasy hebrajskiej. Disraeli jako powieściopisarz poczuł, że zabrnął w sytuację bez wyjścia, ucina więc tok opowiadania przybyciem rodziców Tankreda. Co dalej stało się, niewiadomo.

Ale pozostaje owa myśl stworzenia nowej religji, przyczem pierwiastkiem zapładniającym byłaby tradycja żydowska. Myśl tę przejął od Disraelego Zangwill, tworzący następne ogniwo myśli żydowskiej XIX w., — miałem sposobność na tem samem miejscu streścić i oświetlić jego poglądy. Dziś już wyraźnie rysują się zasady owej wiary, która śniła się Disraelemu: Ogólny pokój, niwelacja granic (przedewszystkiem celnych, ale zapewne w dalszem stadjum rozwojowem i politycznych), zatarcie różnic rasowych i narodowościowych (t. j. powstanie jednej „narodowości państwowej" dla całego świata lub znacznej jego części), a na ołtarzu, wśród dymu kadzideł i dźwięku lutni Dawidodowej czy jazzbandu, ubóstwiona Ludzkość o twarzy, pozbawionej rysów indywidualnych rasy i plemienia...

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

SCHOLAR I JEGO KOT

Jednaka nasza jest robota —
Moja i Pangur Bana — kota:
Z zapałem obaj w nocnej ciszy
Ja słowa łowię, a on — myszy.

Wesołe to jest polowanie.
Gdyby kto z boku patrzył na nie:
Jacy przejęci i szczęśliwi
Czatują w celi dwaj myśliwi.

Raz w raz wyskoczy myszka bura
Przed bohaterski nos Pangura,
Raz w raz pojęcie nowe wleci
W umysłu mego sprawne sieci.

W mur ściany Pangur Ban wciąż wlepia
Drapieżne, ostre, chytre ślepia,
W mur wiedzy pilnie i co chwila
Mój skromny rozum wzrok wysila.

O — jakaż radość Pangur Bana,
Gdy mignie mysz i wlot złapana!
O — jakżem rad i ja, gdy żywo
Rozwiążę wreszcie myśl wątpliwą.

Wiersz powyższy, napisany w języku gaelickim przez mnicha irlandzkiego w klasztorze St. Gallen w wieku IX, na podstawie tłumaczenia angielskiego przełożył

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

NA WIDOWNI

Polemika między mymi przyjaciółmi — Wtrącenie się do rozmowy — Czy Rusini w Małopolsce Wschodniej to tylko „materjał etnograficzny" — Czy tylko „materjał etnograficzny" podlega asymilacji — Polskość musi imponować, by zdobyć dusze ludności kresowej.

PRZYJACIEL mój, osobisty i polityczny, Jędrzej Giertych napisał książkę p. t. „O program polityki kresowej" [1]). Klaudjusz Hrabyk, również mój i polityczny i osobisty przyjaciel, poddał książkę tę zasadniczej krytyce na łamach „Kurjera Lwowskiego" [2]). Czyż to nie wyjątkowa wprost sposobność, by wtrącić się do rozmowy i dorzucić kilka uwag własnych w dyskusji między swymi przyjaciółmi, zwłaszcza jeśli dyskusje z przeciwnikami politycznymi są dziś u nas w praktyce uniemożliwione, skoro—mówiąc słowami Norwida—

„W polemice tak mało formy urobione,
Że trudno jest się różnić..."

Nie tu miejsce, oczywiście, na zreferowanie bogatej w treść książki Giertycha [3]). Wystarczy stwierdzić, że podstawową jej tezą jest konsekwentnie opracowany program asymilacji narodowej (z poszanowaniem kulturalnych odrębności etnicznych) ruskiej i białoruskiej ludności na naszych ziemiach wschodnich. Wytyczne programu tego oddawna wydają mi się jedynie słuszne i w dzisiejszych warunkach odpowiednie, kilkakrotnie też, w najogólniejszych zarysach, usiłowałem je na szpaltach „Myśli Narodowej" formułować i uzasadniać [4]).

Klaudjusz Hrabyk krytykę swą oparł przedewszystkiem na podaniu w wątpliwość twierdzenia Giertycha, jakoby grupy separatystyczne stanowić miały

„...tylko drobny odłam ogółu ludności ruskiej i białoruskiej, której większa część stanowi materjał etnograficznie bądź zupełnie jeszcze surowy i leżący poza sferą krystalizacji świadomości narodowej, bądź zaczynający się dopiero pod tym względem kształtować i dla ideologji separatyzmu nie pozyskany definitywnie".

Istotnie, jeśli o Małopolskę Wschodnią chodzi, zastrzeżenie Hrabyka uznać należy za usprawiedliwione. Wystarczy nawet pobieżne zapoznanie się ze stosunkami w tej dzielnicy, by ustalić fakt niewątpliwy, iż nie „drobny odłam", ale liczne rzesze tamtejszej ludności ruskiej mają dziś wyraźne poczucie swej odrębności narodowej, „ukraińskiej" i za „surowy materjał etnograficzny" nie mogą już być obecnie uważane. Nieusprawiedliwiony jest natomiast wniosek, jaki Hrabyk śpieszy się ze stwierdzenia tego stanu rzeczy wyprowadzić:

„Skoro... stajemy oko w oko z rozwijającem się w dość gwałtowny sposób na jednych terenach, a ugruntowanem na drugich zjawiskiem ruchu narodowego, to nadzieje na asymilowanie zbiorowe w znaczeniu narodowem mas, opanowanych tym ruchem, zmniejszają się do minimum".

Tutaj, zdaje się, Hrabyk właśnie uległ suggestji „utartych drogą przyzwyczajenia... komunałów", co w sprawozdaniu swem wytykał ze swej strony Giertychowi. Jakże często, mianowicie, poruszając zagadnienie asymilacji kresów, można natknąć się na taką mniej więcej objekcję: „Pewnie, pewnie, to byłby program najwłaściwszy, ale... przed jakiemiś pięćdziesięciu laty. Wtedy jeszcze ludność kresowa uważała się za „tutejszych", nie posiadała żadnego określonego poczucia narodowego, dzisiaj jest już, niestety, zapóźno"... Dziwnie rozpowszechniony, chociaż zgoła nieumotywowany jest przesąd, że do zasymilowania może nadawać się jedynie bierna, nieuświadomiona pod względem narodowym masa, jedynie surowy całkiem materjał etniczny.

Ustawicznie mnożące się przykłady wskazują przeciwnie, że procesy asymilacyjne możliwe są i dokonywają się w rzeczywistości na wszystkich szczeblach rozwoju świadomości narodowej, od najniższych do najwyższych. Czyż doświadczenie nasze własne nie poucza, że dla polskości mógł zostać utracony jednakowo analfabeta-wychodźca, gdzieś z zabitej deskami wsi polskiej wywieziony przez agentów emigracyjnych do Ameryki, jak Józef Conrad, syn konspiratora i zesłańca, wychowany w tradycjach egzaltacji patrjotycznej, który jednak o mowie angielskiej potrafił pisać: „język mego tajnego wyboru, mojej przyszłości... język godzin pracy, godzin wywczasów, a także godzin samotnych... język nawet snów moich"...[5])

W dziejach niejednokrotnie zdarzały się wypadki, że właśnie warstwy najbardziej pod względem narodowym wyrobione, najbardziej świadome odrębności swego historycznego dziedzictwa ulegały — i to gromadnie—wynarodowieniu, gdy natomiast bierna, nieuświadomiona masa etniczna opierała mu się skutecznie przez całe stulecia, przechowując i zabezpieczając od zagłady rodzime cechy swojej kultury. Tak naprzykład było na Litwie po unji z Polską, podobnie ze zniemczeniem warstw wyższych, zaś odpornością na germanizację mas ludowych w Czechach albo na Śląsku.

Dałoby się nawet zapewne wskazać jedną z przyczyn, wyjaśniających to paradoksalne napozór zjawisko. Może zbyt ulegam poglądom Tarde'a, wyłożonym w *„Les lois de l'imitation"*, sądzę wszakże, iż u podstaw procesów asymilacyjnych jest zawsze imponowanie, tudzież wrodzona człowiekowi chęć podciągania się, upodobniania się do typu, który z tych czy innych powodów uznaje za doskonalszy. Otóż na pewnym, najniższym poziomie kulturalnym trudno częstokroć zaimponować czemkolwiek naprawdę. Jeden były ziemianin z Mohylewszczyzny opowiadał, jak jeszcze przed wojną światową pokazywał znajomemu chłopu po raz pierwszy przelatujący nad jego wsią samolot: „Nu szczo, panoczku" — mruknął kmiotek obojętnie—„pokrutyli, to i letit" (zakręcili, to i leci)... Oczywiście, prostsze jest i naturalniejsze, gdy podniesienie mas na wyższy poziom cywilizacyjny, na którym dopiero wytworzenie się poczucia narodowego jest możliwe, odrazu i bez przeszkód żadnych dokonywa się w pożądanym kierunku i pod właściwym wpływem, tak że niczego nie potrzeba potem w tej dziedzinie odrabiać ani naprawiać. Czasami jednak może łatwiej i prędzej powiedzie się w pewien sposób ukształtować już istniejącą (zwłaszcza jeszcze młodziutką całkiem) świadomość narodową,

---

[1]) Jędrzej Giertych: „O program polityki kresowej", wyd. „Patria", Warszawa 1932.

[2]) Kl. Hrabyk: „Przedwczesna książka", „Kurjer Lwowski", Nr. 358 z dn. 25 grudnia 1932 r.

[3]) Uczynił to już zresztą K. Stojanowski: „Na marginesie książki Giertycha", „Myśl Nar.", Nr. 30 z dn. 10 lipca 1932 r.

[4]) Np. w artykule „Poszerzenie Ojczyzny", w Nr. 6 z dn. 9 lutego 1930 r.

[5]) Joseph Conrad: *„Personal Record"*, wyd. Nelsona, str. 281.

łatwiej uda się przetworzyć czy wzbogacić jej treść, a nawet zmienić przedmiot patrjotycznego uczucia, aniżeli podźwignąć bierną masę ze stanu prymitywizmu na stopień, na którym wogóle jakiekolwiek uświadomienie narodowe zaczyna być faktem realnym.[6])

Skoro wszakże dochodzimy do wniosku, iż do „imponowania“ sprowadza się właściwie zagadnienie asymilacji przez Polskę ludności kresowej, okaże się (co łatwo było zresztą przewidzieć), że w zasadzie, u podstawy programu wszyscy trzej jesteśmy zgodni najzupełniej, i dla Hrabyka bowiem wytyczną polityki narodowej na wschodzie jest, by polskość mogła „pod każdym względem imponować każdej grupie i narodowości“, przygniatać „ogromem dorobku każdą inną siłę“. Chodzi tylko o dobór skutecznych środków. Chodzi o to, byśmy nareszcie zdali sobie sprawę, że państwo nasze nie ma być czemś, w stosunku do narodu, zewnętrznem, choćby nawet udzielającem łaskawie „ochrony“ czy „poparcia“ polskości na kresach, ale ma być poprostu: Polską, w najgłębszem i najpełniejszem, całą treść odpowiedzialności historycznej zawierającem znaczeniu tego wielkiego słowa.

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

JAK PRACUJE NASZA DZIELNICA POMORSKA, o tem, między innemi, świadczy założony w Toruniu w roku 1926 Instytut Bałtycki. Siedem lat istnienia zaznaczył już instytut ten czterdziestoma sześcioma pracami drukowanemi, pośród których kilkanaście broszur, a większość prac — książki (od 150 do 300 stronic każda) zaopatrzone w mapy, tablice, wykresy i fotografje, opracowane gruntownie, wydane starannie i gustownie. Zakres treści tych prac — ogromny: fizjografja Pomorza, jego przyroda, jego kultura przedhistoryczna, etnografja, dzieje i zabytki jego architektury, rzeźbiarstwa i malarstwa, monografje o handlu, o portach bałtyckich, o różnych zagadnieniach bieżących, jak tranzytu do Prus Wschodnich, rozwoju Gdyni, przeciw propagandzie „korytarzowej“ i tak dalej. Każda praca — źródłowa, rzeczowa, obfitością danych wyposażona, spokojnie, naukowo i jasno napisana. Kierownictwo wydawnictw spoczywa w rękach kilkunastu profesorów i docentów uniwersytetów: jagiellońskiego, poznańskiego, warszawskiego i Wyższej Szkoły Handlowej.

Po uważnem przejrzeniu tego znakomitego dorobku wydawniczego — mimowoli nasuwa się porównanie pracy naszych dzielnic zachodnich z „radosną twórczością“ pewnych sfer Polski wschodniej, aż nazbyt wschodniej. Na zachodzie praca społeczna i cicha, spokojna, wytrwała, gruntowna, wszechstronna i na podziw wydajna. Na wschodzie — państwowa i głośna, hałaśliwa, dorywcza, powierzchowna no i... coprawda, równie wszechstronna i wydajna, lecz w kierunku odwrotnym, pisana, jak to drwił Słowacki, „prozą odjemną“, co już kraj nasz, z siódmej skóry odzierany, krwawicą swoją boleśnie odczuwa. Znamy ten zalew literacki, w którym tonie stolica, te stosy makulatury, które przysłaniać mają nędzę i pustkę, oraz oszołamiać ludność, duchem i ciałem ubogą. Nietrudno zgadnąć, czem się skończy ten ciekawy wyścig dwóch typów pracy... Obyśmy tylko do czasu rozgrywki ostatecznej z głodu nie pomarli!

TOLERANCYJNY ORGAN ŻYDOWSKI, „Wiadomości Literackie“, chętnie udziela na swych szpaltach gościny aryjczykom wszelkich poglądów, dla „narodu wybranego“ zostawiając tylko redakcję, administrację, kierunek ogólny, i większość artykułów. Ostatnio z gościny w piśmie korzystał p. Emil Skiwski, żeby rozprawiać o „katolicyzmie endecji“. O pierwszym jego długim artykule (z dn. 11.XII z. r.) p. t. „Paradoksy trzeźwości“, „Myśl Narodowa“ pisała niedawno w rubryce „Na widowni“; przed kilku dniami ukazał się artykuł drugi p. t. „Wąsy i cholewy“ (w n-rze z dn. 8 b. m.). Malowniczy tytuł odrazu wprowadza w dziedzinę metafor tego politycznego *essay*'u: „Podaje się wasserzupkę jakiejś skurczonej półreligji“. Jakby to wyglądało, gdyby obraz potraktować, jako obraz — i narysować? (zaczynając chyba od wasserzupki pół-religji?). Jeszcze chwila— i oto wasserzupka przemienia się (o niespodzianko!)—w lewatywę. „Podaje się wasserzupkę... Trzeba być doszczętnie wyzbytym zmysłu rzeczywistości, żeby wierzyć w sukces leczniczy takiej ciepłej lewatywy...“ Mowa stale (zauważmy to przy sposobności tych metafor) — o „półreligji“ endeckiej. Niema co — p. Skiwski przywykł używać uprzejmej i po wschodniemu obrazowej mowy, odzywając się w tolerancyjnem piśmie żydowskiem. Skoro już jesteśmy w światku tej mowy, to posłuchajmy jeszcze: „Jedno mąci ten mglisty pejzaż. Mają na swoje usługi (endecy) znakomite pióro Dmowskiego. To poniekąd dezorjentuje, to jest ich cement, ich gorset, nałożony na galaretowate ciało“. Jest pejzaż: a w nim: pióro, cement, gorset. Doprawdy, wyobraźnia p. Skiwskiego przypomina wyobraźnię Słonimskiego: tę w poezjach.

Ale bądź-co-bądź wyobraźnia jest sprawą prywatną: rzeczy, co nas rażą, nie raziły prawdopodobnie p. Skiwskiego, i mimo wszystko, przypuszczamy, że ani na chwilę w zamiarach jego nie leżała nieuprzejmość. O cóż natomiast mu chodziło? „Jak większość ludzi naszej epoki, czuję niedostateczność doktryn i stanowisk, ścierających się w dzisiejszym świecie i w naszym światku, ich nieporadność wobec zadań, którym usiłują sprostać. Nie załamuję nad tem rąk i wierzę mocno, że zbliżamy się do syntezy. Uważam też, że przyczyniam się do tego, choć w najmniejszej mierze, podsumowując pewne spostrzeżenia, usiłując wyciągnąć wszystkie konsekwencje z najważniejszych stanowisk. Skoro odbywa się nieunikniona walka idej, niech przynajmniej walczący wiedzą, na jakim stoją gruncie i jaką naprawdę walczą bronią“. Pięknie: ale czy dowiedzieliśmy się tego o samym p. Skiwskim? Dowiadujemy się tylko (jeśli słowa coś znaczą), że nie jest zwolennikiem żadnej z istniejących religij i filozofij, że czuje

6) Rzecz prosta, iż możliwe jest to tylko wówczas, kiedy najgłębsze, dziedziczne instynkty są w pewnej przynajmniej mierze wspólne, wyrastają z tego samego podłoża, gdy w zasadzie podobne wartości moralne imponują w podobny sposób obu stronom. Trudno np. by polskość w swojej najistotniejszej, niepowierzchownej treści mogła naprawdę zaimponować żydowi, gdy podstawy naszych ocen są różne, gdy to, co dla nas najwyższe i najświętsze, u żyda budzi pogardę albo lekceważenie, a to, co w jego pojęciu najszanowniejsze, dla nas, często, poprostu—obrzydliwe.

niedostateczność wszystkich. Z tego stanowiska zaatakował *credo* religijne stronnictwa politycznego. Z wyżyn swego sceptycyzmu nie dostrzegł, że wogóle takie postawienie sprawy nie było logiczne. Stronnictwo polityczne nie ma swego *credo* religijnego; Stronnictwo Narodowe (złożone zresztą w ogromnej mierze z wierzących katolików) może tylko najszczerzej sprawę religji katolickiej popierać, upatrując w niej największe dobro narodu. Zupełnie inna sprawa, to stosunek nacjonalizmu do religji: zagadnienie, gdzie jest prawda? głęboko przeżyte przez pokolenie powojenne, które opuściło uniwersytety przed kilku laty. Autor wzmiankowanych artykułów w „Wiadomościach Literackich" snadź od tego nurtu ideowego, wartkiego i głębokiego po wojnie nietylko w Polsce, ale we wszystkich prawie narodach Europy, stał na uboczu, — w tem, co pisze, związku z owym ruchem umysłowym nie znać wcale.

NAJAZD ŻYDOWSKI na kulturalne życie Polski obejmuje także muzykę, zwłaszcza popularny jej dział tańców i piosenek. Teatrzyki, koncerty, orkiestry restauracyj i kawiarni — opanowane przez żydów. Wydawnictwa muzyczne tego działu znają tylko autorów żydowskich o typowych nazwiskach — Gold, Włast, Szmaragd, Hemar, Boruński, Mar, Haftman, Petersburski, Białostocki, Amsterdamski, Berdyczowski, Londyński i t. d. Ich utwory — z reguły sprytnie zewsząd kradzione, kawałkami zszywane i psute, tandetne, a w znacznej części rozkładem i porkografją przeżarte. Wydawcami są znane firmy warszawskie. Nowobogacze mieszczaństwa polskiego na tych utworach dzieci swoje „muzykalnie" wychowują. Od biednych nauczycielek muzyki wręcz żądają uczenia owych „modnych" tańców, piosenek i melodyj. Tandeciarze i porkofoniści żydowscy dobre na tej modzie robią pieniądze, a muzycy polscy — uczciwi i utalentowani giną z głodu na strychach, w przytułkach i pod mostami.

Jak w innych dziedzinach, tak i w muzyce sami Polacy do tego zalewu żydowskiego się przyczyniają. Poważne firmy księgarskie masami szerzą w społeczeństwie to błoto muzyczne. Radjostacje codzień na całą Polskę nadają te ohydy żydowskie, w rodzinnych domach polskich nie innego nie grają, właściciele kawiarni i restauracyj — Polacy nie poczuwają się do najprostszych w tej sprawie obowiązków obywatelskich. znani muzycy polscy i krytycy muzyczni milczą o tem wszystkiem, chociaż dobrze stan rzeczy znają. W całości, słowem, jeden z miłych obrazków życiowych Polski współczesnej.

ZAGADKA ŚMIERCI MICKIEWICZA

PAN Juljusz St. Harbut, autor wydanego przed kilku laty dzieła o rewolucji listopadowej, ogłosił w noworocznym n-rze „Dzien. Poznańskiego" niezwykle ciekawą relację ze swych badań o przyczynie śmierci Mickiewicza. Przytoczymy ważniejsze urywki:

„Teza p. Boy'a o otruciu Mickiewicza nie jest jego własną, ale powtórzeniem opinji publicznej całej polskiej emigracji w Turcji, a w szczególności w Konstantynopolu. Do niedawna jeszcze jednym ze środków dyplomatycznych w międzynarodowej polityce rządów była obok sztyletów trucizna, a wśród trucizn *„aqua Taphana"*, tajemniczy roztwór arszeniku pamiętający czasy XVII w., a zwłaszcza czasy słynnych naówczas trucicielek włoskich, a wynaleziony i spreparowany przez księżniczkę włoską Taphę. Kilka kropel tej strasznej wody, *„aqua"*, wlanych do potrawy lub napoju, starczyło za najstraszniejszą truciznę. Ostry smak trucizny ukrywano w zagłuszającym go smaku przyprawy korzeni.

Tapha, stawiona przed sądem, przyznała, że przy pomocy tej trucizny otruła we Włoszech i we Francji kilkaset osób. Później trucizna ta była straszną bronią w rękach tajnych organizacyj politycznych XIX wieku, szczególnie pruskich organizacyj w samym Berlinie i rosyjskich w Petersburgu. Przy pomocy tej trucizny nsiłowano usunąć Wielkiego Księcia Konstantego i niejednego cara (Czytaj „Noc Listopadowa w świetle i cieniach procesu przed Najwyższym Sądem Kryminalnym". — Warszawa, Książnica - Atlas, 1926, str. 27. I-sze wydanie). Trucizny używała też Rosja przez swoich dyplomatycznych wysłanników przeciw najwybitniejszym członkom emigracji polskiej.

Z pierwszą wiadomością o używaniu trucizny przez wrogą dyplomację spotkałem się w Aleppo (Syrja), wedle której to wiadomości gen. Józef Bem nie umarł na febrę, ale został otruty przez ajentkę rosyjską, księżnę Jabłonowską. Z tą też wiadomością, żadnym jednak dokumentem niepopartą, spotkałem się wśród tureckich historyków w Konstantynopolu.

W podróżach poznałem szczególnie bliżej rodzinę wygnańców polskich z okresu rewolucji z r. 1848, pochodzącą z Kopyczyniec w Małopolsce Wschodniej, rozrzuconą po Syrji, Egipcie i Turcji, rodzinę państwa Zabłockich i od szeregu lat pozostaję z nią w nieprzerwanej korespondencji. W Konstantynopolu odszukałem matkę inżynierów Zabłockich z Aleppo, Kairu i Aleksandrji, staruszkę dziś 91-letnią.

Informacja, udzielona za pośrednictwem jednego z dziennikarzy przez radcę Konsulatu polskiego, p. Bogumiła Orzechowskiego, „Wiadomościom Literackim" nr. 49 z 20.XI.1932 r. i „Ilustrowanemu Kurjerowi Codziennemu" nr. 321 z 19. XI. 1933. jest nieścisłą. Niema bowiem w całym Konstantynopolu żadnej 90-letniej p. Mattichowej i p. Orzechowski nie był u niej z wizytą i nie mógł mieć jej na myśli. W Konstantynopolu mieszka p. Wirginia Mattichowa, licząca lat 52, która zatem już z tej samej racji nie mogła osiąść w Konstantynopolu w r. 1862 a ś. p. mąż jej nigdy nie znał i nie widział Adama Mickiewicza. P. Mattichowa mieszka w dzielnicy Xenoki przy ul. Namal Bash Sakok, Ilar appt. nr. 4.

Za p. Orzechowskim błędnie powtórzył tę informację sprawozdawca dziennikarski. Natomiast mieszka w Konstantynopolu od r. 1862 nestorka dzisiejszej miejscowej kolonji polskiej, matka p. Wirginji Mattichowej, 91-letnia p. Zabłocka która w tym czasie wyszła zamąż za emigranta, rozbitka rewolucji węgierskiej z r. 1848 ś. p. Zabłockiego.

Rodzinę pp. Zabłockich i Mattichów znam doskonale, gdyż w ich domach (każda rodzina mieszka osobno w innej dzielnicy i ulicy) spędziłem połowę wieczorów w czasie kilkutygodniowego pobytu w Konstantynopolu i najszczegółowsze o A. Mickiewiczu prowadziłem rozmowy i z rozmów tych posiadam do dziś dnia notatki.

P. Zabłocka ma doskonałą pamięć i pamięta dokładnie wszystkie znane jej z dawnych czasów szczegóły z doli i niedoli ówczesnej polskiej emigracji, nie mówiąc już o późniejszej po r. 1863-4 emigracji, której wszystkich członków, począwszy od gen. Marjana Langiewicza i Henryki Pustowojtówny, niejednokrotnie w swym domu wraz z mężem swym gościła. S. p. mąż jej znał dobrze A. Mickiewicza i z nim obcował.

Osobno zaś w domu p. Wirginji Mattichowej poznałem p. Jana Łepkowskiego, miejscowego urzędnika bankowego i kupca zarazem. P. Łepkowski, zięć p. Mattichowej (z której córką, a wnuczką p. Zabłockiej się ożenił), obecnie prezes miejscowego „Domu Polskiego", to typ Polaka Lewantyńca, nieznającego wcale języka polskiego, a mówiącego tylko po francusku, grecku i turecku.

Tak od p. Mattichowej, p. Zabłockiej, jak i od p. Jana Łepkowskiego, dowiedziałem się, że ojciec jego, ś. p. Antoni Łepkowski, był towarzyszem i kucharzem Mickiewicza w Konstantynopolu i zajmował pokój tuż przy mieszkaniu Mickiewicza.

Otóż złem było, że Mickiewicz zamieszkał w dzielnicy greckiej, jak najzwyklejszy pustelnik, w odległej od centrum miasta ulicy, nazwanej później Adam-sokak, a więc od jego imienia ulicą Adama, gdyż tak, to jest po imieniu, Mickiewicza zwali Turcy wedle swego zwyczaju.

Dlatego było złem, że Mickiewicz zamieszkał w dzielnicy greckiej, ponieważ wówczas Grecy zwłaszcza konstanty-

nopolitańscy, mieli złą orjentację polityczną w stosunku do Polaków, których jako rusofile uważali za największych wrogów i buntowników „świętej Rosji“. Tej orjentacji Mickiewicz prawdopodobnie nie znał, nie znając wogóle Greków miejscowych, a Polacy zapomnieli widocznie o niedawnem ich po roku 1848 do Polski i Polaków uprzedzeniu, z którem spotkała się znów następna emigracja polska po powstaniu r. 1863-4. Grecy zamieszkali w owej dzielnicy, przybyłych do niej, a raczej ulokowanych przez Turków Polaków, wprost napadali i nawet na ulicy kamieniami obrzucali. Za co? Za powstanie styczniowe! Stąd też emigranci polscy musieli wprost homerowe staczać z Grekami walki, z których jednak zawsze wychodzili zwycięsko. Walki te przycichły w okresie tworzenia się legjonu polskiego, który był dla reszty Polaków zbrojnem zabezpieczeniem i murem ochronnym.

I złem było, że Mickiewicz zamieszkał wśród samych Greków, bo zamieszkał na pierwszem piętrze, podczas gdy parter i drugie piętro zajmowały dwie rodziny greckie; wpadł w ręce intrygi rosyjskiej i sztucznie urobionej greckiej, która drogą podstępu spowodowała usunięcie się polskiego kucharza z mieszkania Mickiewicza, który na miejsce poprzedniego przyjął nowego kucharza — Greka.

Wszyscy troje, t. j. Zabłocka, p. Mattichowa i p. Łepkowski, jak mi opowiadali, wiedzą od ś. p. Łepkowskiego, który im nieraz to opowiadał, że Mickiewicz otruty został przez rosyjskich dyplomatycznych wysłanników, celem położenia kresu antyrosyjskiej propagandzie Wieszcza w Porcie Otomańskiej i organizowaniu przezeń legjonów polskich.

Szczegół ten nadto jest znany staruszce p. Zabłockiej, od ś. p. męża i przyjaciół osobistych Mickiewicza i jest zgodny z pamięcią i opinją stołecznej kolonji polskiej. O śmierci i pogrzebie Mickiewicza rozmawiałem też i z resztą miejscowych Polaków. Udział publiczności tak polskiej jak tureckiej i francuskiej w pogrzebie był wprost olbrzymi, a tem większy, że w pogrzebie tym wziął udział oddział legjonu polskiego i szwadron względnie sotnia kozaków gen. Czajkowskiego, przybyła z obozu w Burgas, a nadto garnizon turecki. Pogrzeb był „jak samego sułtana“.

Wszelkie wiadomości o śmierci A. Mickiewicza na cholerę nie dadzą się mimo wszystkich innych odmiennych zapatrywań pogodzić z logiką obowiązujących już wówczas i wprost narzucających się przepisów sanitarnych, tak lokalnych w Konstantynopolu, jak francuskich i międzynarodowych. Oświadczam z całą stanowczością, że ani p. Zabłocka, ani p. Łepkowski ani też p. Mattichowa, ani też nikt inny w ciągu mego kilkutygodniowego pobytu w Konstantynopolu ani słowem nie wspomniał o jakiemkolwiek „zwalaniu“ na kogokolwiek winy otrucia, lecz wszyscy zgodnie i stanowczo podnieśli, że Wieszcz został otruty przez wysłanników rosyjskich.

Szczegół otrucia Mickiewicza tak silnie mnie zainteresował, że ze wszystkich szczegółów dokładnie przezemnie zbadanych, ten szczegół właśnie dniami i wieczorami wśród tamtejszej Polonji badałem i notowałem i pierwszy go podałem w skrócie w czerwcu 1929 r. w mej książce p. t.: „Po Prochy gen. Bema“, str. 33, 34, podałem, unikając afiszowania go. Informacje te są pierwsze i mają charakter źródła pierwszego, a zatem najsilniejszego.

Cholera była obok dżumy zawsze największym postrachem każdego kraju, a temwięcej Turcji, i unikano jej jako choroby zakaźnej a nawet epidemicznej. Władze tureckie nie zezwoliłyby na pogrzeb tego rodzaju i to pogrzeb publiczny, wprost pogrzeb polsko-francusko-turecki, bo i cała kolonja francuska wzięła w nim udział. Ale tem więcej nie zezwoliłyby na przewiezienie zwłok z bardzo odległej dzielnicy greckiej, aż do oddalonego o kilometr kościoła na Perze, na ustawienie przez nienajkrótszy czas w tymże kościele trumny na katafalku i zgromadzenie się około trumny tłumów ludzi, a cóż dopiero na długi i powolny wśród tych niezliczonych tłumów pochód przez główne ulice Pery i miasta aż do portu.

Czy ten i tego rodzaju przewóz zwłok, ułatwiający tylko rozwleczenie po drodze tak infekcyjnej choroby, jak cholera, był możliwy i dopuszczalny, i czy władze administracyjne, okrętowe, kolejowe i sanitarne zgodziłyby się na wyładowanie trumny w Marsylji i dalszy przewóz? Raczej wątpić należy, a przyjąć, że tak władze tureckie jak i francuskie nie dopuściłyby do podobnego przewozu. Lekarze już w Konstantynopolu musieli wystawić certyfikat, zgodny z rzeczywistym stanem rzeczy, że zaszedł tu wypadek nagłej śmierci. Że śmierć Wieszcza była nagłą, dowodzą relacje naocznych świadków, a że była następstwem otrucia, dowodzą wstrząsające objawy towarzyszące śmierci. Wypada wyjaśnić, że objawy śmierci na cholerę są podobne do objawów śmierci wskutek otrucia arszenikiem, a nawet prawie identyczne“.

Zarówno relacja p. Harbuta, jak i jego opinja są bardzo poważną pozycją w dyskusji, którą od r. 1932 na temat śmierci Mickiewicza się toczy. Dyskusja ta toczyła się ochoczo, dopóki się obracała około tezy Boya, że Mickiewicza otruł Polak. Ponieważ była to teza zbyt niedorzeczna i zbyt lekkomyślnie wysunięta, nie dało się jej utrzymać. Gdy się doszło do pytania: więc jeżeli nie Polak, to kto otruł? — wtedy sprawa stała się tak drażliwa, że obie strony polemizujące zgodziły się na jedno: nie było żadnego otrucia. Mickiewicz zmarł na cholerę.

Wyjątek stanowiła „Myśl Narodowa“, która odrazu podtrzymała tezę Boya w tym punkcie, że otrucie było. Wyraziliśmy też przypuszczenie, że dyplomacja interesowana, a więc przedewszystkiem rosyjska, mogła zbrodnię tu popełnić. Wiele szczegółów, w dyskusji ujawnionych, przypuszczenie to potwierdza. Jaką rolę — czy nie dwuznaczną — odgrywali koło Mickiewicza żydzi, o tem p. Harkut wyraźnie nie mówi, chociaż na wstępie szerobo rozwodzi się o żydowskim charakterze masonerji i jej znaczeniu w grach politycznych świata; a zwłaszcza w polityce antyrosyjskiej. Żydom na rękę była wojna Turcji z Rosją — niewątpliwie; ale czy na rękę było wywieszanie romantyczne sztandaru żydowskiego, jak tego chciał Mickiewicz — to stanowczo nie. Mieli oni i mają inne metody walki. Rosję położyli w r. 1917, celu dopięli, ale sztandaru nie pokazywali.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Bardzo ważnego materjału, krytykującego i korygującego niektóre tezy niemieckiego ruchu nordycznego, dostarcza docent uniw. poznańskiego dr. Karol Stojanowski w nader interesującej pracy naukowej „Zjawiska selekcyjne w szkole podchorążych rezerwy“, wydanej w Poznaniu nakładem miejscowego Towarzystwa Psychologicznego. Autor uzyskał nowe przyczynki do charakterystyki typów rasowych na podstawie opracowania materjałów, zaczerpniętych z opinij o podchorążych (ogółem przeciętnie ponad 400 spostrzeżeń.) Typ presłowiański okazał się, zgodnie z dotychczasowemi wynikami, mało inteligentnym i pozatem wykazuje on słabszą orjentację i mniejszą inicjatywę. Jest to typ wybitnie wesołego usposobienia. Typ nordyczny cechuje dobra orjentacja, większa inicjatywa, karność, obowiązkowość, ambicja oraz zdecydowana powaga. W ludziach typu subnordycznego obserwujemy całkiem niespodziewanie brak energji przy bardzo licznie występujących zdolnościach dowodzenia. Typ dynarski wykazuje braki w inicjatywie i karności, przy tendencji do obowiązkowości. Typ alpejski jest mniej inteligentnym, słabo orjentującym się, dosyć energicznym, mało karnym, mało obowiązkowym, mało ambitnym i wesoło usposobionym. Ogólnie wśród lepszego materjału ludzkiego przeważają pod względem procentowym typy: nordyczny, litoralny, północno-zachodni, laponoidalny oraz rudzi. Wśród gorszego materjału ludzkiego na plan pierwszy wysuwa się typ alpejski i wszystkie pozostałe krótkogłowe typy. (T.)

*

W Bytomiu nakładem „Katolika“ wyszło nowe wydanie „Dziejów Śląska“ prof. F. Konecznego. Pierwsze wydanie ukazało się 35 lat temu i spełniło zaszczytnie rolę krzewiciela polskości pod zaborem. Nowe wydanie, uzupełnione szeregiem monografij, które się ukazały po roku 1900 — ma za cel służyć synom — jak pierwsze służyło ojcom. „Dzieje Śląska“ — to właściwie obszerna historja Polski z szczególnem uwzględnieniem dziejów śląskich. Autor nie ograniczył się do suchych faktów historycznych, ale w barwnem opowiadaniu kreśli również historję polskiej kultury i najważniejsze wydarzenia z dziedziny historji literatury. Bardzo pobieżnie załatwił się autor z wiekiem XIX i czasami najnowszemi. Umniejsza to wartość pracy dość poważnie, wiek XIX bowiem przedstawia w dziejach odrodzeni

narodowego Śląska okres wytężonej pracy narodowej, w wieku XIX rozwija się na polskim Śląsku świetnie prasa polska, tworzą się liczne organizacje polskie. Okres ten wydał mężów tej miary, co Stalmach, Miarka, Lompa, ks. Bogedain, Korfanty, Fr. Rostek, poeta Juljusz Ligoń, i wielu innych nieustraszonych bojowników o polską sprawę, ludzi, którym w wielkiej mierze zawdzięczamy polskość Śląska. Uwypuklenie działalności tych mężów w szerszym zakresie, niż to uczynił prof. Koneczny, byłoby z „Dziejów Śląska" uczyniło katechizm narodowy dla braci opolskich. (A. J.)

*

Ciekawe uwagi z dziedziny wychowania pióra p. Izy Moszczeńskiej wydał „Bluszcz" p. t. „Wychowanie praktyczne". Autorka napisała uwagi przedewszystkiem dla rodziców, pragnąc ich zaznajomić z aktualną kwestją wdrażania młodzieży do rozumnej oszczędności. P. Moszczeńska wychodzi ze słusznego założenia, że nie można całej pracy wychowawczej zrzucić na szkołę — że dużą część wychowania młodzieży wziąć na siebie musi dom, rodzina. Oszczędności nie nauczy się dzieci, składając dla nich do skarbonki lub dając im przygodnie parę groszy. Należy dzieciom w odpowiednim wieku dać pewną sumkę na określony czas, z tem, by drobne wydatki na siebie (przybory szkolne, składki i t. p.) załatwiały z tych pieniędzy. Dziecko nauczy się w ten sposób oszczędzać nabyte przedmioty i oszczędzać pieniądze. Uwagi autorki, obszernie uzasadnione, są najzupełniej słuszne i przekonywające. W drugiej części swej broszurki mówi p. Moszczeńska o zaprawianiu dzieci do stałego, systematycznego wysiłku, do szanowania czasu i pracy. (A. J.)

*

W zbiorze tekstów francuskich dla polskich szkół średnich poznańskiego wydawnictwa „Eos" ukazał się bardzo pożyteczny tomik p. t. „*A travers la presse française d'aujour d'hui*". w opracowaniu prof. Jungmana. Szereg artykułów, wyjętych z prasy francuskiej wszelkich odcieni politycznych, obejmuje rozmaite zagadnienia z współczesnego życia Francji, więc z dziedziny ekonomicznej, politycznej, socjalnej, z zakresu krytyki literackiej, ze sportu, kronikę, rozmaitości, kronikę teatralną i t. d. Autorami artykułów są pierwszorzędni dziennikarze jak Pertinax, Lausanne, Sauerwein, Bienaimé, Hervé, Daudet, Bainville, krytycy i uczeni jak Strowski, Thérive, i in. Całość daje wcale dobry obraz współczesnej kultury francuskiej. Zbiorek ten uzupełniają szkice o powstaniu i rozwoju prasy francuskiej, o partjach politycznych i spis dzienników, wychodzących w Paryżu.

(A. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

DZIĘKI zaproszeniom, rozsyłanym przez IPS na wystawy, urządzane w jego kawiarni (pomysł wprowadzony odniedawna), możemy je traktować nietylko jako dekorację ścian i strawę — duchową — dla gości kawiarnianych. Teraz już wypada z nich zdawać relację.

Zapoczątkowali tak pomyślaną imprezę, swemi pracami, artyści Edward Duklan i Henryk Mund. Pierwszy wystawił szereg akwarel, drugi — prace z zakresu grafiki użytkowej.

Okoliczności życiowe nie pozwoliły Duklanowi dotychczas poświęcić się malarstwu w tej mierze, w jakiej by pragnął artysta: stąd też wypływa charakter jego prac — notatek Impresyjne ta szkice robione są jednak śmiało i z wyczuciem techniki i można powiedzieć, że z tych zalet mogłoby się zrodzić niebezpieczeństwo: przewaga efektu nad bezpośredniością podejścia do odtwarzanego tematu.

Artysta, w pierwszym występie, wykazując zasób swych umiejętności, ma wszelkie dane po temu, aby rozwijać je dalej.

H. Mund, grafik, pracujący przez pewien czas w Paryżu, najpomysłowszy jest w rozwiązywaniu małych prac, o charakterze bardziej kameralnym. Pomysł wiele znaczy w sztuce, a w grafice reklamowej szczęśliwa idea — dobrze jeśli dowcipna — w rezultatach staje się b. konkretna: powiększa zbyt reklamowanego towaru. Mund dba o pomysł i jego inscenizację — nieraz daje rzeczy wykwintne. Indywidualnych chwytów technicznych Mund nie posiada, używając sposobów znanych wszędzie i będących własnością ogółu. W grafice użytkowej to nie razi; oczywiście nie szkodzi też, jeśli artysta od czasu do czasu potrafi odświeżyć swój język graficzny.

WIKTOR PODOSKI

TEATR

ZNOWU B. SHAW

SHAW wystawia sztuki w Warszawie, jak u siebie w domu, aczkolwiek satyra jego mierzy w obyczaje angielskie, a my tylko niekiedy w tem zwierciadle krzywem rozpoznać możemy i swoje rysy. Dziś Shaw jest wiarogodniejszy, wiemy bowiem z faktów życia angielskiego, że autor ten trafnie jednak rodaków swoich podpatrywał. A wykryć w obyczajach angielskich prawdę, leżącą pod spodem pozorów, to sztuka nielada.

Obecnie teatr Narodowy wystawił komedję jego „Pierwsza sztuka Fanny". Autor dodał do trzech aktów prolog i epilog, a to w tym celu, aby za jednym zachodem zmiażdżyć recenzentów teatralnych, którzy dobrze mu się dali we znaki, buntując przeciw niemu opinję angielską, żeby mu nie wierzyła. Recenzenci warszawscy nie mają powodu rumienić się przed Shawem. U nas tak źle nie jest. Społeczeństwo polskie, aż do sadyzmu, dobrze znosi satyrę.

Komedja bardzo jest wesoła. Autor zaznaczył w niej jaskrawo, że między młodem pokoleniem a starém dokonywa się jakiś wywrót obyczajowy. Tradycyjny typ mieszczańsko-purytański nie rozpoznaje siebie w dzieciach, które zrywają z siebie konwenans staroświecki i coś nowego, bardziej naturalistycznego chcą z siebie robić. Ale co? Shawa złośliwość polega na tem, że nie powie ostatecznie, co na dobre idzie, co na złe. On tylko pokazuje z zadowoleniem paradoksy życia, a jeśli wygłasza perory, to jakby kpił z kaznodziejów: nigdy nie wiadomo, co naprawdę chce powiedzieć.

Aktorzy nasi nie są anglikami i nie usiłują nawet ich udawać. Tłumacz p. Sobieniowski przekłada sztukę Shawa na nasz język, a oni przekładają na nasz rysunek i nasze tempo. I to zbliża; widz czuje się swojsko.

Kapitalne były figury starszych pań w wykonaniu pp. Czaplińskiej i Rotter-Jarnińskiej, oraz młodszych: pp. Malickiej i Lubieńskiej. Do pary z niemi szli pp. Orwid i Łapiński, znakomity Junosza-Stępowski i Ziembiński. Wszyscy zresztą składali się na dobrą całość. Publiczność bawi się świetnie.

W.

FILM

MAJESTIC: „Congorilla"

B. dobry reportaż filmowy, tem lepszy, iż nie próbowano tu doczepiać „dla urozmaicenia" żadnego scenarjusza. Tematem jest egzotyka afrykańskiej dżungli. Zdjęcia zostały dokonane przez ekspedycję naukową, pod kierunkiem państwa Johnson. Pokazano nam florę i faunę, a przedewszystkiem faunę, w świetle i środowisku najbardziej autentycznem, w największem zbliżeniu do objektywu.

Film jest ciekawy pod względem artystycznym i naukowym i b. odpowiedni dla młodzieży.

Montaż staranny.

ZMARLI

Ś. P. JULJUSZ KŁOS

W WILNIE zmarł profesor architektury na Uniw. Stefana Batorego, inż. Juljusz Kłos.

Urodzony w r. 1881 w Warszawie, ś. p. prof. J. Kłos po ukończeniu nauk gimnazjalnych w Kaliszu i studjum na Wydziale inżynieryjno-budowlanym Politechniki Warszaw-

skiej i Wydziału Architektury Politechniki w Wiedniu, zajmował najpierw stanowisko inżyniera w urzędzie budowlanym w Grazu (1909 — 11), później zaś założył w Warszawie własne biuro budowlane, zajmując się głównie architekturą kościelną i pałacową. W ciągu dwu lat tuż przed wojną światową przebudował i odrestaurował szereg zabytkowych pałaców.

Brał czynny udział w organizowaniu wydziału architektury na Politechnice warszawskiej, a w r. 1918 rozpoczął tutaj wykłady. W ministerjum Kultury i Sztuki był kierownikiem wydziału architektury. W r. 1920 powołany został do zarządu cywilnego Ziem Wschodnich i na katedrę uniwersytecką. Jako ochotnik brał udział w szeregach walczących z bolszewikami. Kilka lat był dziekanem Uniw.

Ś. p. Kłos zasłużył się szczególnie jako konserwator i kierownik przebudowy wielu gmachów. Według jego projektów wystawiono na Rossie pomnik poległym, pomnik Konarskiego. On też kierował pomiarami bazyliki wileńskiej i przeprowadził roboty celem uratowania tej budowli. Rezultatem tych prac było odnalezienie grobów królewskich.

W literaturze została po nim pamiątka w postaci przewodnika krajoznawczego „Wilno", oraz studjum o polskości architektury wileńskiej „Polskie Wilno" (wydane po francusku i angielsku dla Ligi Narodów).

NOWE KSIĄŻKI

Baring M. Daphne Adeane. Powieść. Przekład Janiny Buchholtzowej. Warszawa 1932. „Płomień".

Wierzyński Kazimierz. Granice świata. Opowiadania. Warszawa. Gebethner i Wolff.

Morcinek Gustaw. Chleb na kamieniu. Cieszyn. Księg. Dziedzictwo.

Stojanowski Karol. Zjawiska selekcyjne w szkole podchorążych rezerwy. Poznań 1932. Pozn. Tow. Psychol. Stron 51.

Wierchy. Rocznik X. 1932. Kraków. Tow. Tatrzańskie. Str. 226 i LIII z ilustr.

Niepodległość. Tom VII zesz. 1 (15). Warsz. 1932.

Urbanowicz Stefan. Nowe prawo o stowarzyszeniach. Warszawa 1932. Biuro pracy społ. Str. 24.

Przyboś Juljan. W głąb lasu. Poezje. Cieszyn 1932. Bibl. „a. r." t. III.

Czernik Stanisław. O polskim płocie. Poezje. Warszawa 1933. Dom Ks. Pol.

Kurek Jalu. Śpiewy o Rzeczypospolitej. Poezje. Kraków 1932.

Jasiński Zygm. inż. Wspomnienia. Wojna światowa. W odrodzonej Polsce. Warszawa 1933. Str. 219. F. Hoesick.

Bielak Michał dr. Skarbowość Rzeszy Niemieckiej. Warszawa 1933. F. Hoesick. S. 95.

Nowe Państwo. T. II, zesz. 3 (7). Warszawa 1933. F. Hoesick.

Konar Alfred Aleks. My i dzieci. Powieść. Warszawa 1933. F. Hoesick.

Jastrun Miecz. Inna młodość. Poezje. Warszawa 1933. F. Hoesick.

Rabska Zuzanna. Marmur i słońce. Warszawa. F. Hoesick.

Lisiewicz Miecz. Legandy i ballady. Warszawa 1933. F. Hoesick.

Galis Adam. Bryły. Poezje. Warszawa. F. Hoesick.

Lewin Leopold. Kora pisana. Warszawa 1933. F. Hoesick.

Creanga Jon. Czarodziejskie opowieści. Z przedmową M. Jorgi. Przełożyła z rumuńskiego K. Mayzlówna. Warszawa 1933. F. Hoesick.

Poesie. Rocznik II, zesz. 1. Kromieryż (kwartalny zbiór poezyj czeskich i przekładanych). W zeszycie: Marsz żałobny Iłłakowiczówny (po polsku).

„ROK 1846" ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

(FRAGMENTY)

REFERENDARZ: Ach! prawda, ciężkie czasy, alem jeszcze wczoraj się spotkał na wieczorze... z senatorem Jurglewiczem, który ma wielki przystęp do zamku, a jest człowiek — Panie wiecie — rozsądny i że tak powiem dobrych manier człowiek; nie można powiedzieć, ma i serce — *enfin un homme de poids* — dotąd nikt na niego nie powiedział ani że się dał przekupić, ani że okradł lub szpiegował i doniósł — wszak prawda?

OBYWATEL: I cóż?... Przyznaję — prawda — by prosto kradł i zarazem z pierwszej ręki donosił, nikt dotąd nie wykrył — więc cóż?

REFERENDARZ: Bardzo grzeczny dla mnie, nie wiem skąd, ale bardzo i bardzo — zawsze mi mówi *„mon cher"* i bierze mnie pod rękę i prowadzi w kąt jaki, lub pod okno, pyta się o moje zdanie w sprawach najzawilszych... Jest człowiek, co zna się na ludziach i wcale nie do tych rzędu należący, co serwilizmem petersburskim przejęci, dla przypochlebienia się najwyższemu chcę... religję katolicką prześladować i niszczyć, lub kodeks napoleoński zastąpić nowem prawem. — Wcale nie — owszem — Marszałkowi poddmuchnie, co tylko może dobrego, naturalnie ze wszelką ostrożnością przyzwoitą — i zdaje się w łaskach u marszałka. — Marszałek mu ufa, bardzo ufa... Narodowość nasza tkwi w nim, głęboko ukryta wprawdzie, ale tkwi — Bogu dziękować, że i taki wyższy urzędnik nam się tu dostał!

OBYWATEL: Panegiryku, kochany referendarzu nie pisz, tylko mów, co ci ten wysoki urzędnik powierzył wczoraj w kącie jakim lub pod oknem...

REFERENDARZ: ...nachylił mi się do ucha, jak ja teraz do pana hrabiego i rzekł: „Czy wiesz, co się pokazuje z indagacji wszystkich, *mon ami?*" Nie wiem, *Votre excellence*, — *„Mon cher*, pokazuje się, że nic narodowego w tem wszystkiem niema, same młode studenty, aplikanty bez grosza i znaczenia; sam mi JO. książe oznajmił przed godziną" — A więc cóż jest, *Votre excellence?* — zapytałem — „sen — symonizm francuski i komunizm niemiecki — tylko nikomu nie powtarzaj — bo, rozumiesz, że tobie jednemu tylko tak dalece zaufałem"...

OBYWATEL: ...komuniści — ci wszyscy — ci wszyscy, co nieustannie o lada co aresztowani... za książeczkę zakazaną, którą u nich znaleziono, lub za słówko nieostrożne, lub za wzrok śmiały, wymierzony w pojazd przelatujący marszałka... Nie — to fałsz bezecny — wszyscy ci młodzi pałają zemstą i buntem za kraj uciemiężony — w nich szczera, istna z ojca, z dziada, z pradziada, polska, wolna krew...

REFERENDARZ: Zacny Hrabio, Hrabio Dobrodzieju, racz nieco ciszej. — Tak łatwo siebie i drugich skompromitować. — Słuch wykształcony i z trzeciego pokoju uchwyta głos taki męski, jak u Hrabi! Kto za piec ręczy, kto za rurę od komina...

OBYWATEL: ...inne już czasy! — Straszliwie inne, powiadam państwu ...lecz jakem szlachcic polski, tak przysięgam, że wszystka ta młodzież nasza nie o komuniźmie myśli, ale o Polszcze, o ojczyźnie, o dźwignieniu narodowości myśli! Do wszystkiego gotowi, prawda — w rozpaczy są — prawda — ale jak tu nie być w niej?... inne prawa, inną religję dadzą.— Wójtów precz, a sprawników wprowadzą — ...Tak źle, że gorzej być nie może.

REFERENDARZ: O, może być, może być jeszcze gorzej. — Dajmy naprzykład, że odmieniliby namiestnika, że innego by dali — Murawiewa jakiego lub Bibikowa.

OBYWATEL: Mała różnica — czy taki, czy owaki zwierz.

REFERENDARZ: Jednak marszałek....

OBYWATEL: Piękny mi gagatek — masz kogo chwalić! — marszałek, który dzieci dwunastoletnie każe czerkiesom swoim aresztować i odprowadzać przez całe miasto do odwachu... I Konstantego przeszedł twój marszałek!

REFERENDARZ: Wcale nie mój, wcale nie — ja go nie bronię absolutnie, tylko względowo, powiadając, że jeszcze gorzej być może!

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

KĘTA: Otóż, przedzawczoraj, w domu mi znajomym obchodzono imieniny gospodyni... Jakoś z muzyki zakazanej przeszło się do rymotwórstwa zakazanego i jedna z panienek tam przytomnych zaczęła przypominać sobie ustęp z trzeciej części Dziadów... Ale pamięć jej się potknęła... i zapłoniona, to znów blada, stała, nie mogąc dociągnąć do końca. — Wtem młody urzędnik wyrwał się i wiersza dokończył przy poklaskach słuchaczy — i wiecie państwo, co się z nim... stało zaraz nazajutrz?

OFENSYWA

SCHIFF O ŚWIĘTOCHOWSKIM POMPER O KADENIE

CZY WY tego, polscy literaci, nie widzicie, czy też udajecie, że nie widzicie, bo z Wam z tem wygodniej i spokojniej, a odpór i walkę z tem uważacie za zgóry przegraną i beznadziejną?

Czy nie byłaby już jednak pora sporządzić statystykę na ten temat i wymalować odpowiednie grafikony? Czy nie byłaby już pora z gwałtowną energją przystąpić do zorganizowania *numerus clausus* w literaturze?

Przecież to żydostwo naprawdę już wdarło się wszędzie i opanowało wszystkie stacje węzłowe, wszystkie przyczółki mostowe, wszystkie ośrodki nerwowe, wszystkie rozgłośnie! Czy Wy tego naprawdę nie widzicie, czy jeszczeście nie zauważyli, czy też wreszcie udajecie, że tego nie widzicie?

Kilka przykładów. Ruina „Teatru Polskiego". U kolebki: Tomasz Potocki, E. Krasiński, przy agonji „Hanka" Ordon, Offenbach, Lopek i Lopki... Stołeczny dziennik „Kurjer Poranny" (jeszcze przed eksmisją dr. Włocha) rozpisuje ankietę o „Dziesięciu Najwybitniejszych Polakach". „Robi" ankietę niejaki Anatol Stern. Fotografja Sądu konkursowego: *Jury*, sędziowie: pięciu Izraelów i trzech Aryjczyków, prof. Zieliński, Maklakiewicz i ten nieszczęsny biedny Włoch. Pięciu Izraelitów decyduje o dziesięciu najwybitniejszych Polakach... Encyklopedja Obywatelska („Świat i Życie"). Nazwisko redaktora gwarantujące, że wydawnictwo będzie solidne. O „absolutyzmie" pisze prof. Feldman. Można jeszcze się zgodzić: uczony. Ale zaraz obok o adwokaturze niejaki Okręt *recte* Schiff. Czy już w Warszawie wśród 800 adwokatów chrześcijan nie dało się wynaleźć jednego piśmiennego?... Jakieś duże wydawnictwo teatralno-anonsowe z portretami. Kto robi? Oczywiście Izraelec... Wydawnictwo pamiątkowe o lotnikach? Izraelec.. Poeci najczęściej drukowani w obecnym sezonie: Bolesław Leśmian... w rządowych pismach, Janusz Wirski w opozycyjnych. Pośmiertne dzieło Żeromskiego, wstęp: Hanna Mortkowiczanka. Reprezentacja Polski w Hadze na jubileuszu Spinozy: dr. Ignacy Halpern-Myślicki...

I tak, gdzie ruszyć, w ważnych momentach, na ważnych placówkach wszędzie rozmaite Leizorki Breitschwanze, menkełesy, wasserzuganty... Nawet na opozycyjny *(sic)* tygodnik potrafią wydobyć pieniądze od księdza Żongołłowicza i hr. Potockiego i z całym cynizmem wydają sobie luksusowo reklamowany, rządowo-opozycyjny, faszystowsko-liberalny, bezpartyjny i zajadle żydowski tygodniczek, cacaną gotówką wykupujący współpracowników z nędzy egzystencji w opozycji uczciwej, rzetelnej.

Champion'ami tej całej Izra-Elity, tej czarnej sotni semi-faszystów, alimentowanych dyspozycyjnemi funduszami, są dwaj krzykliwie rozgłośni literaci-liweranci z Krakowa, związani pośrednio z naszem aszkenazim podwójnemi po kądzieli węzłami rodzinnemi. Żydostwo stołeczne zna tę tajemnicę Poliszynela, może nie zna szczegółów dokładniej, ale wie dobrze, że te dwie największe znakomitości z Krakowa, to chwalić Boga Jehowę nie są popisowe okazy (*Prachtexemplar*'y) rasy aryjskiej, ale misz-produkty. Stąd ta frenezja i ta furja entuzjazmu, z jakim zadyszane, zapienione, zabarkane, kahalne-nachalne Lejzorki Breitschwanze popierają i protegują i Żeleńskiego i Bandrowskiego. Bo to i ten na „ski" i tamten na „ski", a jednak, a jednak... jeżeli w Armandzie Lèvy po latach i po przemieszaniach rasowych odezwał się (1853) głos tej krwi, która zawsze zwycięża, to i po tych dwóch krakowskich Diobskurach, którzy warszawską inteligencją zawładli, można się jeszcze cudów i dziwów spodziewać. Stąd też bierze się ten szał zbożny całej *juiverie* polskiej, gdy o Kadenie lub o Boyu mówią i piszą. Stąd fanatyczne podnoszenie ich na tarczę i spazmy i czkawki zachwytów, których w 10% nie mają dla swoich własnych, rodzonych Tuwimów, Wittlinów, nawet Słonimskich!, o 50% mniej „niebezpiecznych", mniej destruktywnych od tamtych semitów ze „ski" na nieobrzezanym nazwiska końcu.

Stąd też takie kłótliwo-żarliwe nabożeństwo do obu Diobskurów u nowego literackiego *causeur*'a organu pułkowników niejakiego p. Karola Krzewskiego (z których Krzewskich? z Krzewia? czy z Krzewic?)

I stąd też wreszcie ten galopujący pośpiech, z jakim dostarczył „Tygodnikowi" adwokacką obronę nowej „powieści" pana Kadena niejaki p. Pomper, piszący pod nazwiskiem Leon Pomirowski. Aby wyczuć smak tego odpadkowego produktu literackiego trzeba tu poprzód przedłożyć opinji polskiej dokument: jak się teraz pisze o... Świętochowskim.

Otóż w „Kurjerze Porannym" znalazł obok innych przytułek czy przytyłek niejaki „lo" tj. od lat wielu w judemokratycznych efemerydach przygodnie popisujący się adwokat Okręt ze znanej dynastji Schiffów, Szyffów. *Stamgast*'owi od Semadeniego nie podobał się wstęp do broszury zresztą niepotrzebnie procesującego się z zarządem Kórnickich Zakładów dr. Wilczyńskiego, wstęp napisany też niekoniecznie może potrzebnie przez Aleksandra Świętochowskiego. Mniejsza o *meritum* tej sprawy, ale rozchodzi się o ton, na jaki pozwolił sobie w krytyce procesu i wstępu ot taki tam sobie jakiś podrzędny adwokacina bez klienteli. W fejletonie pt. „Niedobre Obyczaje" *(sic)* podstarzały żydek podlizując się przelotnie prokuratorowi Sieroszewskiemu i nadprokuratorowi Aronowi Millerowi tak pisze o Świętochowskim:

„Aleksander Świętochowski, *magni nominis umbra*. Obecnie jeden z najpiękniejszych starców w Polsce, niegdy prawie wielki człowiek bardzo małego i płaskiego momentu w życiu Kongresówki. Dziś mało kto wie, na czem polegała ta prawie — wielkość. A kto zajrzy do tej przeszłości, będzie mocno zażenowany. Na czem polegało to osobliwe nieporozumienie, które przez kilka, prawie kilkanaście lat, pozwoliło p. Świętochowskiemu uważać się za władcę dusz? Dziś mało kto o tem wie...".

I w tym guście nalewkowskim jeszcze dalej, a to, że „w królestwie ślepych był jednooki", „Chantecler, który myślał że jego pianie tworzy brzask"...

A teraz, jak i co o Kadena „Mateuszu Bigdzie" Leon Pomper (Pomirowski):

„potężny akt wdzierania się w rdzeń naszego życia"... „nowa forma wyrazu"... „dynamiczna expressja dzieła"... „podchodzi w drapieżnych skokach z ramieniem pełnem ciosów"... „wartościowanie w wielkiej skali współczesnej rzeczywistości polskiej"... w „poziomie jednostajnej płaszczyzny bytu jeden tylko Kaden dojrzał zakulisową kotłownię dziejów"... „świdrem namiętnej analizy przewierca do jakiegoś biologicznego dna"... „znakomite znawstwo wszelkich odmian człowieka dochodzi do niepospolitych wynalazków psychologicznych"... „ukrop współczesności"... „rysunek i charakter postaci wspaniały" ...„spowiedź jest przejmująca jako obraz ludzkiej doli, a jako splot najtkliwszego liryzmu przeżyć z surowym naturalizmem opisu prawdziwem arcydziełem sztuki pisarskiej".

Taki jest styl, charakter i żargon recenzji Pompera Pomirowskiego.

Że zaś nowa powieść Kadena jest ciężko wypoconym, nędznym, służalczym, obstalunkowym paszkwilem na „wrogów" Piłsudskiego, na Witosa i Daszyńskiego, że jest najtypowszym wulgarnym „*Hintertreppenromanem*" mieszczańskiego mieszańca, szkalującego nękane, zagłodzono chłopstwo polskie i jego przywódców przy pomocy bajd, fałszów i potwarzy, wyzbieranych ze wszystkich kloak i sławojek Krakowa, Kłaja, Gdowa, Ropczyc, Milówki i Myślenic, że jest najplugawszą szumowiną, zgarnioną kiedykolwiek lokajskiem piórem polskiego „pisarza", więc żyd Pomper tak broni po Judaszowsku przywileju Kadena do spotwarzania sponiewieranych Witosów i Daszyńskich, ich rodzin i ich przyjaciół:

„nie należy jednak zbytnio przywiązywać się do tematu ani doszukiwać się autentycznych modeli politycznych w osobach powieści; byłoby to nazbyt prostoduszne spłycenie wielkiego wysiłku twórczego".

Dosyć.

Tak się w ósmym roku Sanacji i Dyktatury Moralnej pisało w Warszawie o Świętochowskim. A tak znowuż o tym panu Kadenie z Krakowa.

Rozsądzajcie sami!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Dobry interes można zrobić teraz tylko na Pomorzu. Dowodem tranzakcja lorda Rothermere'a.

*

Można też czasem zrobić interes na Śląsku Górnym.
Kto w tych ciężkich czasach niczemu nie wierzy, niech sobie poczyta „*Aux Ecoutes*" paryską i naszą „Polonję" katowicką.

*

Są jeszcze interesy. Wogóle zadużo przesady w tem ciągłem krakaniu o kryzysie!
Polska — to duża rzecz. Można zarobić.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.